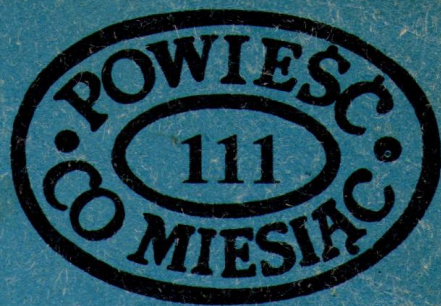
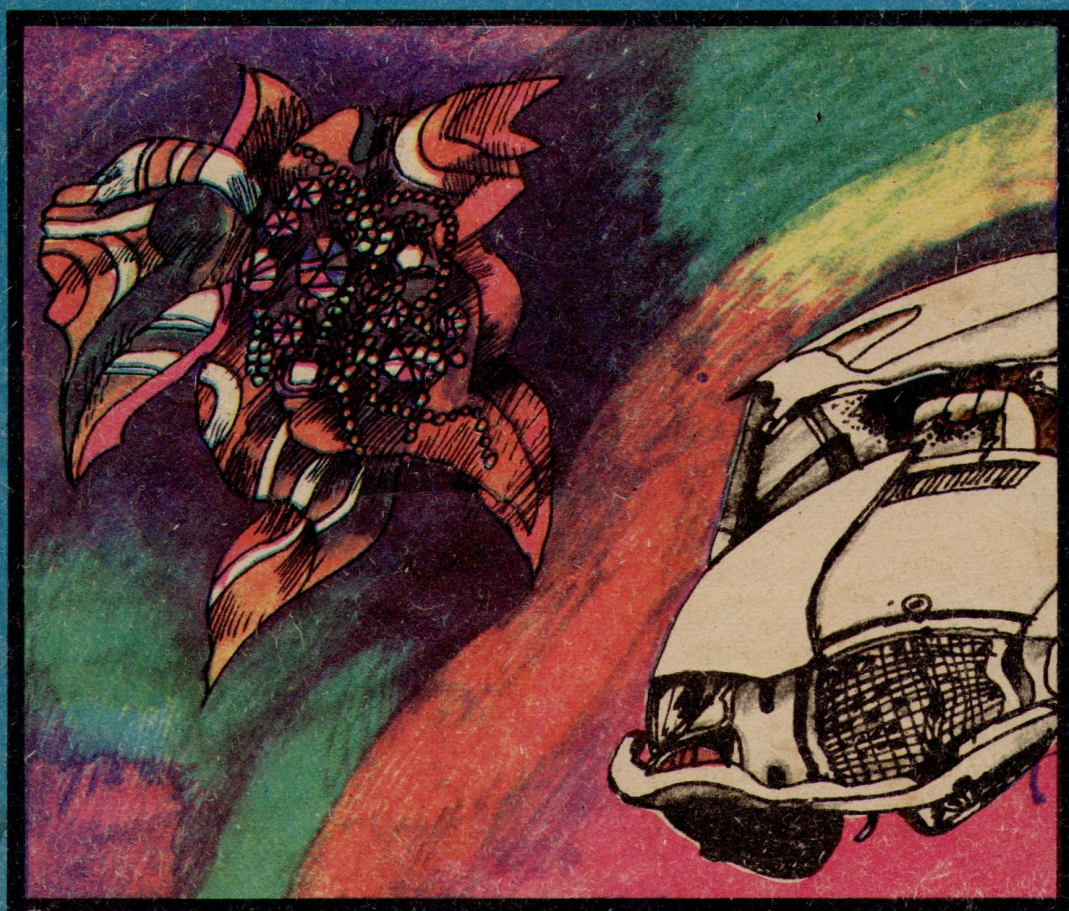


Ewa wzywa 07...



Tadeusz Kwiatkowski

TURYSTA

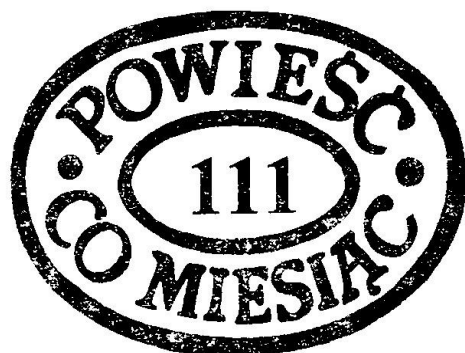


ISIRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Tadeusz Kwiatkowski

TURYSTA



ISKRY · WARSZAWA · 1979

© Copyright by Tadeusz Kwiatkowski, Warszawa 1979

— Cyjanek — powiedział kapitan Smulski, odkładając kartkę z ekspertyzą Zakładu Medycyny Sądowej. — W butelce z mlekiem również było sporo tego smakołyku.

Porucznik Tomaszek westchnął wznosząc oczy ku sufitowi.

— Ale będzie robota.

— Tak, tak. Trzeba wykryć, skąd się to wzięło. Macie spis, gdzie przechowują cyjanek? To towar reglamentowany — uśmiechnął się kapitan. — Po nitce do kłębka i sprawa załatwiona. Byliście u jego żony?

— Wyjechała na wczasy. Będzie tu wieczorem.

— A w miejscu pracy?

— Rozmawiałem z personalnym. Piwiński był dobrym urzędnikiem. Nie miał żadnych wrogów na terenie fabryki, raczej lubiany, personalnemu nic nie wiadomo, aby ktoś na niego nalatywał. Samobójstwo wyklucza. Miał awansować i umówił się z dyrektorem na jutro.

— A nie bawił się w jakieś chemiczne eksperymenty?

— Nie. Praca, dom, telewizor.

— Sąsiedzi?

— Jak najlepsza opinia. Bezkonfliktowy, towarzyski, chętny do sąsiedzkich przysług.

Kapitan wstał od biurka i rozłożył ręce.

— To zaczynajcie orać. Żona powinna dorzucić sporo cennych informacji.

Porucznik Tomaszek spojrzął na ekspertyzę.

— Miał 1,6 promila alkoholu, czyli że przedtem gdzieś popił. Pewnie skorzystał, że żona daleko i zabawiał się wesoło.

— Wszystko ważne. Wszystko ważne — pokiwał głową kapitan. — Rebusik trudny, ale wdzięczny do rozwiązania.

— Jakoś to będzie — rzekł Tomaszek.

— Weźmiecie Dańdę i Zdobyczą i do roboty.

— Tak jest — porucznik sięgnął po czapkę na stoliku, skinął głową.

— Meldujcie, jak wam się szczęści — dodał Smulski na pożegnanie.

Tomaszek opuścił pokój i wyszedł na korytarz. Akurat natknął się na przechodzącego Zdobyczą.

- Sierzancie, mamy robótkę. Zdobycz przystanął.
- Spodziewałem się tego. Ten ze skwerku, co?
- Ano ten. Cyjanek. Najprawdopodobniej otruty. Zachciało mu się mleka nad ranem. Po przepiciu mleko zwykle dobrze robi.
- W tym wypadku jakoś mu nie pomogło. Od czego zaczynamy?

*

Żona Franciszka Piwińskiego rozpoznała zwłoki, zemdląca i przez pół godziny nie mogła przyjść do siebie. Zeznawała potem roztrzęsiona, kilka razy musiano przerwać przesłuchanie, by dać jej ochłonąć.

– Mąż był człowiekiem spokojnym. Bardzo się kochaliśmy. Planowaliśmy w najbliższym czasie dziecko. Marzył o tym. Ktoś go otrul! On nie mógł tego sam zrobić...

– W jakim męż bywał towarzystwie? Kto was odwiedzał? Czy wasze pożycie rzeczywiście układało się tak, jak pani mówi? Może miał jakieś interesy z innymi ludźmi?

– Nic mi o czymś takim nie wspominał.

– Może miał jakąś niejasną przeszłość za sobą? Czy nie był ostatnio czymś zdenerwowany? Nie odniosła pani wrażenia, że go coś gnębi, że go ktoś na przykład szantażuje?

– Po śmierci rodziców miał tylko mnie. Żyliśmy naprawdę w zgodzie i nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic.

– Mąż lubił wódkę? Upijał się albo bywał u kogoś, gdzie pił?

Piwińska zaprzeczyła gwałtownie.

– Owszem, mamy przyjaciół — dodała po chwili. — Czasem wypiliśmy tam kilka kieliszków. Ale tak na co dzień mąż nie pił. Jak ktoś przyszedł do nas, to musiałam biec po wódkę, bo w domu nigdy nie trzymaliśmy alkoholu.

Tomaszek bębnił palcami po biurku.

– A pani? Przepraszam za to pytanie, lecz to mój obowiązek. Muszę zadać kilka niedyskretnych pytań.

Piwińska od razu domyśliła się, o co idzie porucznikowi.

– Nie, nie miałam kochanka. I on też nie miał nikogo poza mną. Mogłabym na to przysiąc.

– Nie był na przykład chorobliwie zazdrosny o panią? To się zdarza. Mężczyzna nie lubi się do takich uczuć przyznawać...

– Wykluczone. Zresztą Franek był domatorem. A jeśli wychodziłam z domu, to zawsze z nim.

– A jednak wczoraj kogoś odwiedził, wykryto spory procent alkoholu w jego krwi.

– Może poszedł na kolację? Może się napił? Ale nigdy nie pił zbyt wiele. Dwa, trzy kieliszki. Miał słabą głowę. Na drugi dzień cierpiał. Wódka mu

szkodziła.

— A po wódce lubił pić mleko?

Piwińska pokręciła głową bez przekonania.

— Czy ja wiem? Czasem pił, kiedy rano dokuczał mu ból głowy.

Sierżant Zdobycz, który spisywał zeznania na maszynie, stukając jednym palcem w klawisze, spytał odwracając głowę w stronę Piwińskiej:

— Mąż miał jakiś swój ulubiony lokal, do którego chodził na kolację w czasie pani nieobecności?

— Chodziliśmy zwykle do „Ermitażu”. Znał tam kierownika, który nam zawsze polecał, co było najlepszego do jedzenia.

Nagle Piwińska przyłożyła dłoń do czoła. Na chwilę zamilkła, a potem powiedziała z ożywieniem:

— Wczoraj było dwudziestego trzeciego, prawda?

Porucznik Tomaszek przytaknął.

— Wandy. Zupełnie zapomniałam. Przecież mógł iść do Wieczorków... To nasi przyjaciele. Tak, na pewno poszedł na jej imieniny.

— Gdzie oni mieszkają?

— Przy Różanej. Pod dwudziestym.

— Na Różanej? — Tomaszek wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze Zdobyczem. Skwerek, na którym znaleziono zwłoki denata, znajdował się w pobliżu Różanej. To już było coś.

— Ale panowie, na Boga, powiedzcie, jak się to stało? — Piwińska złożyła błagalnie dłonie. — Ja w to jeszcze nie wierzę... tak leżał... to wprost nie do pojęcia...

— No, niestety — odpowiedział Tomaszek. Żał mu było młodej kobiety, ale nie mógł jej jeszcze wykluczyć z grona podejrzanych. Starał się jednak być delikatny i na razie nie nalegał na jakieś głębsze wynurzenia. — Gdyby pani przypomniała sobie coś, co by miało jakikolwiek związek ze śmiercią męża, proszę nas bezzwłocznie zawiadomić.

*

Grupa operacyjno-dochodzeniowa rozpoczęła pracę. Odciski palców na butelce należały do denata i do kilku jeszcze innych osób, nie notowanych w kartotekach. Ale butelka, zanim zawędruje do klienta, przechodzi przez ręce wielu ludzi, nikłe więc były nadzieje, aby tu zbyt dużo zdziałała daktyloskopia. Na trawie skwerku nie znaleziono innych śladów prócz kilku niewielkich zagłębień w miejscach rzadziej porośniętych; odcisnęło je według wszelkiego prawdopodobieństwa ciało Piwińskiego. Za mało materiału, by wyciągnąć istotne wnioski.

Zgodnie z przypuszczeniem Piwińskiej mąż jej spędził cały wieczór u Wieczorków, skąd wyszedł około piątej rano. Był pijany, lecz zdaniem gospodarzy nie na tyle, aby mieć trudności z dotarciem do swego domu. Poza tym zeznania Wieczorków nie wniosły niczego nowego do sprawy. Przyjaźnili się

z Piwińskimi od lat, często bywali u siebie i nigdy nie słyszeli, by Franciszek, miał jakieś kłopoty, które by mogły tak tragicznie się zakończyć. Sami wyrazali się w superlatywach

o przyjacielu, który niejednokrotnie służył im pomocą w ciężkich chwilach. Według nich małżeństwo Piwińskich było bardzo udane i wzorowe pod każdym względem.

— Czy państwu dostarczają mleko? — spytał porucznik Dańda.
— Nie, żadne z nas nie lubi mleka.
— A komuś w kamienicy?
— Tak. Czasem idąc do pracy widuję butelki stojące przed drzwiami. — Wieczorkowa była bystrą kobietą i odpowiedziała za męża, który siedział obok, najwyraźniej przybity wiadomością o śmierci Piwińskiego. — Zaraz panu powiem. Kowalscy mają dzieci i im przynoszą mleko, to na pierwszym piętrze. Na drugim bierze pani Złotowska i chyba na czwartym Szmigielscy.

*

Tomaszek i Dańda byli zgodni w tym, że butelka odgrywa dużą rolę w rozwikłaniu zagadki otrucia Piwońskiego. Kierownik mleczarni potwierdził to, co mówiła Wieczorkowa. Z listy zamówień wynikało, że troje lokatorów na ulicy Różanej zamawiało co miesiąc mleko. Padły te same nazwiska. Dozorczyńni zaś nic nie słyszała o tym, by komukolwiek z lokatorów ukradziono tej nocy butelkę.

— Może mu ktoś wręczył butelkę na ulicy? — rozłożył ręce Dańda. — No to wziął, wypił i...

— I co? Ot tak, ktoś ci daje butelkę mleka z cyjankiem? Bez powodu? Ktoś, kto czyhał na Piwińskiego czekając, aż wyjdzie od Wieczorków? Nie trzyma się to kupy.

— Mleczarz... Tylko czy mleczarz, który roznosi butelki na Różanej, znał Piwińskiego, mieszkającego dwa kilometry dalej?

Tomaszek gryzł wargi i skrobał się palcem po brodzie.

— A jeżeli ta butelka była przeznaczona dla kogoś innego? Może to w ogóle nie była butelka z mleczami?

— Skąd się więc znalazła w ręku pijanego Piwińskiego?

— Trzeba jednak pogadać z tym mleczarzem. Pójdiesz — powiedział Tomaszek do Dańdy — jeszcze raz do mieczami. Przepytaj go. Może on coś wie? Ja wracam na Różaną.

*

Po wyjściu porucznika Dańdy Tomaszek jeszcze parę minut zatrzymał się w swoim pokoju, porządkując notatki. W tym czasie zadzwonił kapitan Smulski, wzywając go do siebie.

— Macie już coś? — zapytał na wstępie.

— Na razie nic ciekawego.

— Żona Piwińskiego niczego nie sugerowała?

— Niczego, co by mogło się nam przydać. Sprawdziliśmy ją też. Tamtej nocy nie opuszczała swojego pokoju w domu wczasowym. Zajmowała pokój z dwiema innymi kobietami.

Kapitan postukał palcem w notatnik.

— Ja mam coś ciekawszego. Dziś rano znaleziono martwego mężczyznę; w lasku, trzydzieści kilometrów za miastem. Żadnych papierów nie miał przy sobie. Lekarz stwierdził ślady otrucia; oznak pobicia nie stwierdzono. Prokurator zlecił sekcję.

— Cyjanek?

— Tego jeszcze nie wiem. Czekam na ekspertyzę z zakładu. Ale jeśli to też cyjanek...?

— Ładny gips! — potrząsnął głową Tomaszek.

— Aż mi się zimno robi.

— Nie wiadomo na razie, czy ten drugi ma coś wspólnego z Piwińskim, ale jeśli wyniki sekcji wykażą cyjanek, według wszelkiego prawdopodobieństwa sprawa zatoczy szersze kręgi. Róbcie więc swoje, a kiedy z zakładu dostaniemy bliższe informacje, powiadomię was o tym.

— Znaleziono butelkę po mleku?

— Nie. Nie wiemy też, kim był ten człowiek. — Kapitan zajrzał do notesu. — Mężczyzna około trzydziestki bez żadnych szczególnych znaków, odziany w robocze drelichowe ubranie. I w ogóle bez dokumentów. Gdyby to miało jakieś powiązanie z Piwińskim, macie bardzo ładne zadanie.

Kowalska z Różanej oświadczyła, że jak zwykle wczoraj dostarczono jej dwie butelki mleka; stały pod drzwiami. Wypili je, ale właśnie miała zamiar udać się do mleczarni z reklamacją, gdyż dzisiaj dostawa była spóźniona o całe dwie godziny. To samo poświadczyli Szmigielscy z czwartego piętra. Złotowskiej z drugiego piętra nie było w domu, gdyż mimo kilkakrotnego pukania i dzwonięcia do drzwi nikt nie odpowiadał.

— Często zdarzają się przypadki takich opóźnień w dostarczaniu mleka?

— Czasami... — odpowiedziała Szmigielska. — Kogóż to obchodzi, że człowiek pójdzie do pracy nie wypiwszy kawy z mlekiem? Ludziom nie chce się pracować! Lekceważą sobie obowiązki. Pewnie pan mleczarz zasnął...

— Widywała pani tego mleczarza?

— Nigdy. Przychodzi przecież koło piątej rano. Rachunki płacę w mleczarni. Kilka razy słyszałam, jak tłukł pojemnikami o bruk. Raz nawet chciałam wstać i zwrócić mu uwagę, żeby zachowywał się ciszej, ale nie miałam siły, żeby się zerwać z łóżka.

*

W mleczarni Tomaszek zastał Dańdę, który przesłuchiwał kierownika — kto dostarczał dzisiaj mleko na Różaną? — spytał. Kierownik podsunął porucznikowi krzesło.

— Okazuje się właśnie, że niejaki Jan Możdżeń nie stawił się rano do pracy.

Od miesiąca zdarzyło

mu się to po raz pierwszy — rzekł Dańda. — Mieli problem ze znalezieniem kogoś na zastępstwo.

Kierownik skwapliwie przytaknął.

— Coraz trudniej o takich, co chcą się podjąć tej roboty. Możdżeń był dobry. Mało o nim wiem, ale nie miałem z nim dotąd kłopotów. Dziś nawalił.

— Może zachorował?

Kierownik wzruszył ramionami.

— Nie mam czasu sprawdzać, chory czy nie. Mleko musi być dostarczone, bo potem ja obrywam od klientów. A wyszukać zastępcę, panowie, sztuka nie lada. Nawet jak ktoś bumeluje, co niby mam zrobić? Wypowiem i kogo wezmę na jego miejsce? Brak ludzi.

— Jak długo Możdżeń pracuje u pana?

— Od miesiąca.

— Przyjmowaliście go z jakimiś referencjami?

— Skądże! Jestem szczęśliwy, jak ktoś przyjdzie i chce pracować. Jakbym zaczął jeszcze ich przepytawać, nikt by się nie zgłosił. Nie ryzykuję zanedo. Bo co? Ukradnie taki kilka butelek mleka, szkoda niezbyt wielka. Z pieniędzmi nie ma do czynienia, więc nie stawiam surowych wymagań.

— Z papierów wynika, że Możdżeń trzydzieści sześć lat, kawaler, mieszka przy Okopowej 12 mieszkania 3. — Dańda przerzucał dokumenty, które mu przedłożył kierownik.

Kiedy wyszli z mleczami, zapytał:

— Jedziemy na Okopową, co?

— Mam dla ciebie niespodziankę — uśmiechnął się Tomaszek i w samochodzie zrelacjonował mu rozmowę z kapitanem Smulskim.

*

Móźdzeniowie zajmowali dwuizbowe mieszkanie. Obydwoje byli emerytami i ich syn Jan ostatnio zaczął rozwodzić mleko, ponieważ zdaniem matki od lat lubił wcześniej wstawać i taka praca mu odpowiadała. Coś im tam dawał na utrzymanie, a co robił poza tym — obydwójce nie umieli dokładnie wyjaśnić. Chodził gdzieś i czasem nie wracał na noc. Nie byli więc zaniepokojeni, że wczorajszej nocy nie pojawił się w domu. Nie wiedzieli też, że nie stawił się do pracy. Wizyta milicji zaniepokoiła ich jednak.

— Czy coś się stało Jankowi?

— Nie. Nie dostarczył dzisiaj mleka i chcielibyśmy wiedzieć, z jakiego powodu? Czy znacie państwo jego przyjaciół albo znajomych?

Matka rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie, proszę pana. Syn nie sprowadza nikogo do domu. Pan widzi, jak się tu gniewamy. Starzy jesteśmy, chodzimy wcześniej spać. Nie, nie sprowadza nikogo do domu.

— A kobiety? Ma narzeczoną albo dobrą znajomą?

— Może i ma — uśmiechnął się ojciec — ale by się i tak nam nie zwierzył. Mówilem mu, ożeń się, miej dzieci, a on na to: „I co, sprowadzę babę do domu, a wy co? Będziemy się gnieździć w tych klitkach?” Ma rację, bo nie dałoby się tak żyć.

— Dobry chłopak — w oczach matki pojawiły się łzy — nigdy na nas nie krzyknie, nigdy nie chce za dużo.

— Ale nie chciał się uczyć — wtrącił ojciec. — Zawsze marzyłem, żeby wyszedł na ludzi, a on: „Rękami więcej zarobię niż głową”. — Stary Możdzeń westchnął: — Ale nie zarabia, jak sobie obiecywał. Ciężko mu szło.

— A takie plany snuł, jak był młody, że mnie aż serce rosło — dodała matka. — „Na złotych kołach będzie mama jeszcze jeździła”, mówił i wierzyłam, że tak będzie. Los widocznie chciał inaczej.

— Nie orientujecie się państwo, gdzie przebywał, gdy nie zjawiał się na noc? Tak jak na przykład dzisiejszej nocy?

— Czy ja wiem... — Możdzeń potarł czoło — może u tego... jak on się nazywa, no ten — zwrócił się do żony — no, wiesz, ten, co kilka razy tu zajrzał. Taki chudy, że same kości...

— Siwec?

— Tak. Może u Siwca! — wykrzyknął ojciec.

— Wiecie, gdzie mieszka?

— Gdzieś koło boiska sportowego, ale ulicy to nie powiem. Gdzieś tam...

— A jak ma na imię?

— Bolek, prawda, matka, że Bolek? Na pewno Bolek!

— Czy syn ostatnio nie opowiadał czegoś takiego, co by was zastanowiło?

— Niby co?

Dańda zamknął teczkę z notatkami, nie spodziewając się już rewelacji.

— Że ma jakieś zamiary, że zdarzyło mu się coś niezwykłego albo że na coś liczy.

— Mało my mówili ostatnio ze sobą — stwierdził stary Możdzeń. — My z matką chodzimy wcześniej spać, Janek przychodzi późno, a wstaje świtem, a tak cały dzień to go nie ma w domu. Nie ma okazji pogadać.

— Spóźnione mleko mamy z głowy — powiedział Tomaszek do Dańdy, kiedy znaleźli się na ulicy — ale nic nam to nie posuwa sprawy. Przyjrzymy się bliżej temu Możdzeniowi, choć skąd taki facet mógłby mieć cyjanek?

— Zapominasz, że Piwińskiego znaleziono na skwerku, nie w kamienicy. A w kamienicy nie zginęła żadna butelka.

— Zaraz, zaraz. Jeszcze nie mówiliśmy ze Złotowską.

— Coś mi się zdaje, że pies jest gdzie indziej pogrzebany — mruknął Dańda — nie przywiązujemy się zanadto do pierwszej wersji.

— Ale żeby mieć czyste sumienie...

— Może Zdobycz odkryje, że gdzieś uszczknięto nieco tego proszku? Mielibyśmy punkt zahaczenia.

Wsiedli do wozu i zapalili.

— Ciekaw jestem, co powie nam Smulski. Jeśli i tamtego pozbyto się w ten sam sposób, to chyba nie tylko zbieg przypadkowych okoliczności. — Tomaszek spuścił nieco szybę w samochodzie i dmuchał dym na zewnątrz.

— I wtedy dołączą to do sprawy Piwińskiego
— pokiwał głową Dańda. — Może będziemy mieli do czynienia z maniakiem trucicielem?

Tomaszek zatrzepotał rękami.

— Tylko nie to. Z takimi najtrudniej. Zabijają dla zabijania. Często bez motywu. I bądź mądry. Jedno jest pewne. Afera nietuzinkowa.

— Liczysz na jeszcze jedną gwiazdkę? — zaśmiał się Dańda.

— Przydałaby się — Tomaszek pociągnął ostatni raz papierosa i zdusił go w popielnicze na bocznych drzwiczkach.

— A ja marzę o kilku tygodniach urlopu. Wyjechać, wystawić pyszczyko na słońce i zapomnieć o obowiązkach.

— Coś czuję, że ten twój urlop się nieco przesunie.

— Nie gadaj tak. Dojrzałem już do wypoczynku. Smulski nie daje odetchnąć. Zawsze coś znajdzie.

Zajechali przed komendę i wysiedli. Byli to dwaj rośli mężczyźni, podobnie zbudowani, wysocy, barczyści i mimo cywilnych ubrań baczny obserwator bez trudu rozpoznałby w nich ludzi przywykłych do noszenia mundurów. Szli równym, miarowym krokiem.

W hallu komendy Tomaszek przystanął.

— No i jak będzie?

Dańda podniósł i opuścił ramiona.

— Będzie, jak będzie.

*

U kapitana Smulskiego siedział prokurator Nowak. Na przywitanie powiedział:

— Panowie, coś mi się zdaje, że zacznie się niezła robótka.

Tomaszek od razu domyślił się, o co idzie. Skierował wzrok na Smulskiego.

— Cyjanek?

Kapitan skinął głową. Porucznicy spojrzeli na siebie.

— Dwóch ludzi otrutych niemal w tym samym czasie to nie przypadek — rzekł z przekonaniem prokurator — zwłaszcza że cyjanek jest trucizną trudno dostępną. Dlatego należy moim zdaniem uważać, że w obu tych przypadkach związek przyczynowy jest jeden.

— Ja też tak sądzę — dodał kapitan Smulski.

— Musimy się zapoznać z materiałami tego drugiego otrucia — powiedział Dańda.

— Nic tam szczególnego nie znaleźliśmy — rzekł prokurator. — Denat nie miał przy sobie żadnych papierów albo też sprawca śmierci wyjął je z jego kieszeni, chcąc utrudnić rozpoznanie ofiary. Ale trzeba tam jeszcze pojechać i

poszperać. A nuż się wam trafi coś, co uszło naszej uwagi. I koniecznie trzeba się jak najszybciej dowiedzieć, kim był denat. Macie tu plan — prokurator podsunął Tomaszewi szkic sytuacyjny miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. — Lasek czy raczej zarośla, jakieś trzydzieści metrów od drogi, na uboczu. Zwłoki znalazł mały chłopak, który pobiegł do ojca, a ten z kolei zawiadomił posterunek milicji. Lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła wczoraj około trzeciej, czwartej po południu. W treści żołądka znaleziono resztki nie pogryzionych kawałków salami.

— Salami? — zdziwił się Dańda. — Nie widziałem salami od kilku lat.

— Nie chcę być prorokiem — uśmiechnął się prokurator Nowak — ale być może denat właśnie skusił się na ten przysmak.

— Tu mleko, tam salami... — pokręcił głową porucznik Tomaszek.

— A wy macie już coś dla nas? — wtrącił kapitan Smulski.

— Niewiele — skrzywił się Dańda. — Musimy poczekać, aż objawi się ten mleczarz. Byliśmy u

niego w domu, ale nie wrócił na noc, jak zeznali jego rodzice. Podobno często nie wraca.

— Dziś nie przyszedł do pracy — dodał Tomaszek.

— Wszyscy sobie lekceważą pracę. Za dobrze ludziom w tej naszej ojczyźnie — powiedział

prokurator. — Im więcej przywilejów, tym bardziej to wykorzystują.

— Nie przyszedł do pracy... — zastanowił się Smulski — interesujące. A macie jakieś bliższe o nim wiadomości?

— Zajmiemy się tym. Mózdzeniowie wymienili niejakiego Siwca, który podobno był kompanem ich syna. Ale trzeba go odszukać, bo nie podali adresu.

— A co kierownik mleczarni mówi o swoim pracowniku?

— Mózdeń pracuje tam dopiero od miesiąca, a kierownik niezbyt interesuje się, z kim ma do czynienia. Nie ma chętnych do tej roboty, więc bierze każdego, kto się nawinie pod rękę.

— Przecież jakieś jego papiery muszą być w przedsiębiorstwie.

— To wszystko będzie załatwione — oświadczył Tomaszek, przerzucając zdjęcia fotograficzne ofiary truciciela znalezionej w lasku.

— Cholera — trzepnął palcami Dańda, również nachylony nad fotografiami.

— Ten jego strój...

Kapitan uniósł nieco rękę do góry.

— Nie chcieliśmy wam niczego sugerować, lecz

i nam wydaje się to prawdopodobne. Z tym dacie sobie radę w godzinę, nieprawdaż?

— Oczywiście.

— Aha, i jeszcze jedno. Zdobycz zebrał informacje. W żadnym z zakładów nie brakuje ani miligrama cyjanku.

— Czyli zaczynamy od zera — stwierdził Tomaszek.

- Nietrudno złapać złodziejaszka, który okradł kiosk, moi drodzy.
- Ale mając takich zdolnych ludzi — uśmiechnął się prokurator do Smulskiego — nie masz chyba wątpliwości, że odniesiecie błyskawiczny sukces.
- Dobra, dobra — odparł kapitan — będziemy chwalić po robocie.

*

Porucznik Tomaszek udał się do mleczarni z kilkoma zdjęciami otrutego w lasku. Kierownik bez wahania rozpoznał Jana Możdżenia.

- To on! Rany boskie, co się stało?
- Jeszcze nie wiemy. Niech pan mi powie o nim coś bliższego. Może ktoś do niego przychodził? Jaki w ogóle był? Czy pan z nim nigdy nie rozmawiał ot tak, prywatnie?

Kierownik, cały rozdygotany, przyglądał się fotografiom i przecierał oczy.

- To on. Poznaję. I nie żyje?
- Niechże pan sobie przypomni jakieś szczegóły. Czasem coś pozornie nieistotnego może przyczynić się do wykrycia sprawy.
- Ja nie wiem. Nie wiem. Nic sobie nie przypominam. Chciałbym pomóc, lecz nic sobie nie przypominam. Mówiłem już panom, że nie miałem bliższego kontaktu z roznosicielami. Kogo mi przysyłano, tego brałem. Stale się zmieniają. Człowiek ma tyle kłopotów na głowie, że nie ma czasu zajmować się innymi.

– W każdym razie stwierdza pan, że osoba, którą widzi pan na fotografii, to Jan Możdżeń, roznosiciel mleka.

- Tak, tak, to stwierdzam — jeszcze raz wziął do ręki zdjęcia i bacznie się im przyglądał — mogę przysiąc, że to on.

Porucznik zebrał fotografie i włożył do teczki.

– A co mu się stało? — ciekawość przemogła jednak pierwsze zdenerwowanie i kierownik utkwiał pytający wzrok w Tomaszku.

- Dowie się pan później.
- Pewnie zadał się z kimś i tak się to skończyło. Chuliganów nie brak. A gdzie to się wydarzyło? Bo widziałem na zdjęciach jakieś drzewka, coś jakby zagajnik?

- Nie w mieście — odpowiedział porucznik.
- Trzeba uważać. Boże, jak trzeba dziś uważać — zakonkludował kierownik na pożegnanie.

*

Tomaszek powrócił do komendy, gdzie czekał już z wozem Dańda. Wzięli ze sobą plutonowego Ziębę, który przybył z dochodzeniówką na miejsce, gdzie znaleziono Móźdżenia. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów szosą, prowadzącą do Katowic, Zięba zaprowadził ich na pobliski pagórek porośnięty z rzadka sosnami i krzewami ostreżyn.

- Tu leżał — wskazał wygniecioną trawę. — Obszukaliśmy wszystko w obrębie kilkudziesięciu metrów i nic.
- Jestem przekonany, że przyszedł czy przyszli tu od strony drogi —

powiedział Dańda. — A może go przyniesiono i rzucono w krzaki?

Wrócili obydwaj na szosę i starali się odnaleźć jakieś ślady. Gdyby niesiono taki ciężar, w miękkiej ziemi pagórka pozostałyby odcisnięte ślady butów. Nic jednak nie wskazywało, by ktoś wspinał się pod górę obarczony ciężkim ładunkiem.

— Może szli od drugiej strony?

Ale i z drugiej strony pagórka, który schodził łagodnie pod pola obsiane owsem, niczego nie wykryto.

— Wygląda na to, że dopiero tutaj dostał tę swoją porcję — oświadczył Tomaszek.

— Tylko skąd się tu znalazł? Dlaczego? Umówiony był z kimś w tym miejscu? To spory kawał od miasta.

— Takich pytań możemy sobie zadać jeszcze więcej — stwierdził Tomaszek.

— Przecież nie jechał specjalnie po to, aby właśnie tutaj popełnić samobójstwo.

— Tacy ludzie nie robią tego w ten sposób. Skąd w ogóle u takiego faceta cyjanek? Po co cała wycieczka? I salami, którego nie ma u nas w handlu? Jak to wreszcie powiązać ze śmiercią Piwińskiego?

Zięba jeszcze bobrował po krzakach.

— Macie coś? — spytał Dańda, gdy plutonowy zjawiał się przed nimi.

— Nic. Ani papierka, ani peta. Jakby ktoś specjalnie wysprzątał teren odkurzaczem.

— Trzeba by pogadać z chłopakiem, który odkrył zwłoki. Może coś znalazł i schował?

— On tu ze wsi — powiedział Zięba, wyjął notes i odczytał: — Wojciech Paliwoda — to ojciec, a syn ma na imię Staszek. Wieś Smardzewice.

— Daleko stąd?

— Będzie ze dwa kilometry.

— Jedziemy.

Kilka kilometrów okrężnej drogi po wybojach i dziurach. Wreszcie trafili do wsi i od pierwszego napotkanego chłopca dowiedzieli się, gdzie mieszka Wojciech Paliwoda, który zawiadomił milicję o znalezionych zwłokach. Od razu zbiegły się dzieciaki i obieżyły milicyjnego fiata.

Paliwoda akurat wyrzucał obornik z chlewu do dołu za stodołą. Odłożył widły, otarł ręce w imatę i zaprosił do wnętrza chaty. Jego żona

inęła jak trusia przy drzwiach i przysłuchiwała się rozmowie z rękami złożonymi jak do modlitwy

— Mój Staszek przyleciał do mnie cały czerwony i powiada do mnie: „Ojciec, na sroczej górze

leży trup”. Zbijałem deski, bo mi potrzebne na kojce dla gęsi, ale rzuciłem robotę i poleciałem za nim. I leżał. Nie ruszał się, choć go tknąłem nogą. Kazałem Staszekowi wracać do chałupy i przykazałem, żeby nie robił wrzasku, bo się zleca ludzie i jeszcze co nabroją. I tak jak stałem, pobiegłem na posterunek. Strasznie się tam przejęli i zaraz gdzieś dzwoniли. I jeden z panów z milicji mówił, żebym

czekał, aż przyjedzie taksówka z milicją. Potem my wsiedli i przyjechali na miejsce. Pokazałem im trupa. Pytali mnie, jak go znalazłem, a ja im, że to mój Staszek. Potem przyjechała karetka, no i cała kupa tych waszych urzędników.

— Mówicie, żeście tylko nogą dotknęli zwłok, tak? A nie szukaliście czegoś po kieszeniach?

Paliwoda uderzył się pięścią w piersi.

— Żebym tak skonał, że nie! Panowie, gdzieżby ja trupa obszukiwał?

— No, po prostu tak z ciekawości. Może chcieliście znaleźć jego dokumenty, dowiedzieć się, kto to jest, skąd się tam znalazł?

— Toć ja specjalnie przykazałem Staszкови nikomu nie gadać o tym we wsi, bo wiecie, ludzie są rozmaici, mogliby co ukraść albo i buty zabrać...

— Która to była godzina?

— Coś wedle piątej.

— A wasz syn? Gdzie jest wasz syn?

— A gania gdzieś. Czasem to szukaj wiatru w polu, dopiero pod wieczór przylezie, zziąjany od tego latania.

— Chcielibyśmy się z nim zobaczyć.

— Matka — Paliwoda zwrócił się do żony — każ no, żeby tu przyszedł.

Kobieta wzniosła oczy ku górze i posłusznie wyszła z izby.

— Czy tam po tej, jak wy ją nazywacie, sroczej górze chodzą często ludzie?

— Panie, a wiem to ja? Kawał drogi od naszej wsi. Może chadzają, może nie. Trochę krzaków, co tam chodzić...

— Ale mogło się zdarzyć, że ktoś przechodził i na przykład okradł leżące zwłoki?

Paliwoda wzruszył ramionami.

— Pewnie, że się mogło zdarzyć, ale czy ja to wiem...

— A wasz syn? Nie przyniósł czegoś do domu?

— Nie przyniósł. Dałbym mu ja zabierać, co nie jego!

— Może ukrył przed wami? Spodobało mu się co i sobie wziął. Ile on ma lat?

— Dziesięć będzie miał.

— Takie dzieci nie wiedzą, że każda rzecz znaleziona przy zwłokach pomaga przy rozpoznaniu przyczyny śmierci. Spodobało mu się coś, to i wziął.

— Nie ucę go na złodzieja — odparł z godnością Paliwoda. — Co nie jego — święte.

— Nie uznalibyśmy tego za kradzież. Przecież to dziecko.

— Sami z nim pogadajcie. Ale jakby co wziął, to niech go ręka boska broni!

Tomaszek poklepał chłopca po ramieniu.

— Nie złościć się. Od razu myślicie o złodziejstwie. A tu trzeba spokojnie, łagodnie, dziecko samo zrozumie, że należy pomóc i odda, co wzięło. Bo widzicie, przy zwłokach nie znaleźliśmy ani dokumentów, ani żadnego drobiazgu. A przecież każdy coś nosi w kieszeniach.

— Prawda, nosi. Ale my ze Staszkiem nie szukali.

Paliwodowa wepchnęła niewielkiego rumianego chłopaczka do izby. Ojciec zmarszczył czoło i chciał od razu coś powiedzieć, lecz Dańda powstrzymał go ruchem ręki.

– Nazywasz się Staszek, co?

– Tak, proszę pana — odparł rezolutnie chłopak, wcale nie speszony widokiem dwóch, cywilów i milicjanta w mundurze.

– To ty znalazłeś tego nieboszczyka?

– Ja, proszę pana.

– Opowiedz, jak to było? Usiądź sobie i opowiedz nam spokojnie wszystko po kolei. Dobrze?

– Dobrze, proszę pana.

I bez jakiegokolwiek tremy, bez zająknięcia zrelacjonował, jak zapędził się na pagórek za pniakiem, który mu uciekł. I w krzakach natknął się na leżącego mężczyznę. Początkowo myślał, że śpi, więc krzyknął, niby na psa, ale właściwie to tak, żeby się tamten obudził. Kiedy mężczyzna się nie poruszył, podszedł bliżej i wtedy zobaczył, że leżący ma otwarte szeroko oczy, ale nic nie widzi ani nie słyszy. Nie przestraszył się, bo już widział swego dziadka, jak umarł i wyglądał podobnie, i wcale się wtedy nie bał, że dziadek nie żyje. Pędem zawrócił do domu i opowiedział o tym, co zobaczył, ojcu.

– No, widzicie — wtrącił Paliwoda — mówi to samo. Samą prawdę. Staszek, a może ty... — głos ojca zabrzmiał surowo i Dańda znowu mu gestem kazał zamilknąć. Paliwoda chrząknął, ale przerwał w połowie zdania.

– I jak podszedłeś bliżej do tego mężczyzny, to co zrobiłeś jeszcze? — spytał serdecznym tonem Tomaszek. — Wiesz, nas wszystko interesuje. Jak leżał, co miał przy sobie, czy nie było czegoś koło niego, jakichś papierów, może jakich drobnych rzeczy? Nie zauważyłeś czegoś?

Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy.

– Absolutnie nic?

Znowu przeczący ruch głowy.

– Widzisz, Stasiu, dla nas to ważne. Często mała rzecz, a okazuje się najważniejsza. Chciałbyś przecież, abyśmy się dowiedzieli, dlaczego ten mężczyzna zmarł na sroczej górze. Mógłbyś wtedy z dumą opowiadać swoim kolegom, że przyczyniłeś się do wyświecenia tej zagadki. A od nas byś dostał podziękowanie, że nam pomogłeś.

Chłopak przygryzł wargi.

Tomaszek spojrzał porozumiewawczo na Dań-dę. Był już przekonany, że chłopak, który do tej pory chętnie odpowiadał na pytania, a naraz zamilkł i bez słowa kiwa tylko głową — ukrywa coś przed nimi i że to idzie o jakiś przedmiot, który mu się spodobał i nie chciałby się z nim rozstać.

– Stasiu — powiedział — a ja wiem, że ty coś masz.

Stary Paliwoda podskoczył na stołku.

– Staszek, jak ty co wzięłeś, to...

— Panie Paliwoda — rzekł ostro porucznik Dańda — proszę nie przeszkadzać. Staszek jest mądrym chłopcem i powie nam szczerze wszystko. Prawda, Stasiu?

Chłopak spuścił głowę i nie odpowiedział. Tomaszek pogładził go po czuprynie.

— Przypomnij sobie. Ty tego nie wzięłeś, po prostu pożyczyłeś sobie na chwilę i oddasz nam teraz.

Jakby poruszony jakąś niewidzialną sprężyną mały podniósł oczy i zeskoczył ze stołka.

— Nic nie wzięłem. Ja znalazłem.

— I tyś mi nie powiedział! Ojciec nie powiedział? — Paliwoda nie wytrzymał i krzyknął ze złością.

— Bobyś mi odebrał. A ja to znalazłem.

— Gdzie znalazłeś? — spytał łagodnie Tomaszek.

— Znalazłem — powtórzył tępo Staszek. — I nikomu nie oddam.

— Staszek! — ojciec zamierzył się, by uderzyć chłopca, lecz Dańda w porę powstrzymał jego rękę.

— Spokojnie! Przecież Staś jest mądrym chłopcem i zrozumie, że idzie o ważną sprawę. Widzisz

— zwrócił się do chłopca, który stał z ponurą miną — zobaczymy, co to jest i jeżeli uznamy, że to nam się nie przyda, oddamy ci. Pokaż, co to jest?

Stary Paliwoda mrucał ze złości, ale już nie odważył się strofować syna. Matka coś tam szepnęła w kącie izby, a Tomaszek i Dańda uśmiechali się do chłopca. Z dziećmi zawsze było najtrudniej. Albo zamykały się w sobie i nic z nich nie dało się wyciągnąć, albo znowu fantazjowały, że nie sposób się było połapać, co zdarzyło się naprawdę, a co w ich wyobraźni. Musieli jednak cierpliwie czekać, nie chcąc zrażać chłopca zbytym naleganiem lub wręcz wymuszaniem na nim oddania znalezionej przedmiotu.

Plutonowy Zięba przyzwyczajony, że to, czego zażąda milicja, musi być wykonane szybko i bez sprzeciwu, uważał, że ci dwaj cywile, chociaż też milicjanci, zanadto cackali się ze smarkaczem. Chętnie by krzyknął i chłopak, przestraszony, zrobiłby, co mu kazano. Nie miał jednak śmiałości wyrazić swego zdania na ten temat. Stał z tyłu i bębnił palcami po stole.

— Cóż, Stasiu — powiedział Tomaszek ciągle z uśmiechem na ustach — zdecydowałeś się? — Podniósł brodę chłopca i spojrzał mu w oczy. — Spełnisz naszą prośbę?

Chłopak przez chwilę wytrzymał wzrok porucznika, potem nagle odwrócił się na pięcie i wybiegł z izby. Ojciec chciał rzucić się za nim w pogoń, ale Tomaszek przytrzymał go za ramię.

— Teraz go nie znajdziecie — sapnął gniewnie stary Paliwoda. — Jak się ukryje, to próżno go szukać.

— Przyjdzie! — odpowiedział Tomaszek, ale trochę bez przekonania.

— Co się z takim certolic — mruknął Zięba.

Zapanowała cisza. Paliwoda zaproponował kwaśne mleko, lecz odmówili. Wszystkim się śpieszyło i byli ciekawi, co schował chłopak.

Upłynął dobry kwadrans, zanim Staszek zjawił się w izbie. Trzymał coś w mocno zaciśniętej ręce.

Paliwoda z wyraźną ulgą odetchnął, a twarz jego żony rozjaśniła się na widok syna.

Była to zapalniczka. Wąska, czarna, z metalowym okuciem. Dańda wyjął chusteczkę i wziął przez nią zapalniczkę do ręki.

– Gazowa – skonstatował obejrzawszy ją dokładnie. – I to znalazłeś?

– Tak – potwierdził ze smutkiem w oczach chłopak.

– Wyciągnąłeś z kieszeni czy znalazłeś gdzieś indziej?

– Nie z kieszeni – odpowiedział mały bez namysłu. – Leżała w trawie. Obok.

– Jak daleko od tego mężczyzny?

– O... z tyle – Staszek odsunął się ze dwa metry.

– Musimy ją niestety zabrać – rzekł Tomaszek.

– Wiedziałem... wiedziałem – chlipnął chłopak.

– A pytałem ci się! – krzyknął ojciec. – A tyś się nie przyznał. Zobaczysz ty...

– Nie dziwię ci się, że chciałeś mieć taką zapalniczkę – oświadczył Tomaszek – mnie się też ona podoba. Ale może nam dużo powiedzieć i dlatego trzeba ją zbadać, opisać, nie wszyscy mają takie zapalniczki i to może być ślad. Ważny ślad. Dziękujemy ci, że zrozumiałeś nas i oddałeś ją w nasze ręce.

Porucznicy uścisnęli chłopca. Paliwoda odprowadził ich do samochodu.

– Nic nie wiedziałem, panowie. A dałbym se głowę uciąć, że niczego nie wziął.

– To dziecko. Bawią go takie rzeczy. Niech pan da mu spokój. I tak nam pomógł.

Wsiadli do samochodu. Dzieciaki zaczęły biec za wozem, który omijając wyboje powoli jechał przez wieś. Robiło się już szaro. Wszyscy byli zmęczeni i myśleli z przyjemnością o powrocie do domów.

*

– Wątpię, aby zachowały się jeszcze jakieś ślady na tej zapalniczce – powiedział Dańda.

– Może daktyloskop co pokaże. Nigdy nic nie wiadomo.

– Takich w każdym razie nie ma u nas w sprzedaży – Tomaszek trzymał na dłoni chusteczkę, na której leżała zapalniczka; uważnie się jej przyglądał. – Trzy litery ARD, jakiś skrót. Ale skąd zapalniczka, skoro nie znaleźliśmy żadnego niedopałka?

– Może ktoś zgubił, po prostu wypadła mu z kieszeni. To byłby zresztą dziwny zbieg okoliczności. Trup, a obok zapalniczka kogoś, kto nie miał z tą

śmiercią nic wspólnego. Ale i taka możliwość jest niewykluczona.

— Laboratorium będzie miało robótkę. Musimy dowiedzieć się wszystkiego o tej zapalniczce. Jaka firma, gdzie to się sprzedaje, czy często się spotyka takie u nas w kraju? Nie chce mi się

wierzyć, by akurat na tym samym pagórku ktoś inny wcześniej zgubił zapalniczkę, dopiero potem blisko tego miejsca zabito człowieka. Zgubił ją albo sam Możdzeń, albo morderca.

— Ale zacierając ślady nie zauważyłby tej zapalniczki? Pomyśl: popołudnie, słońce, okucie na pewno błyszczało... — wyraził swe wątpliwości Dańda.

— Nerwy, nerwy — powiedział Tomaszek. — Przestępca popełnia takie przeoczenia.

*

Na drugi dzień rano sierżant Zdobycz przyniósł adres Bolesława Siwca, który mieszkał przy Zagrodowej, rzeczywiście w pobliżu stadionu sportowego. Pojechał tam, ale nie zastał Siwca w domu. Sąsiedzi powiedzieli, że wyszedł skoro świt.

— Czyżby coś przewąchał? — zastanowił się Dańda.

— Może starzy Mózdeniowie go ostrzegli i zwiął, mając coś na sumieniu? — dodał porucznik Tomaszek.

— To wyjdzie na jaw — pocieszył się Dańda.

— Mózdeniowie muszą rozpoznać zwłoki. Wtedy ich przyciśniemy, czy nie byli zanadto gorliwi i solidarni z tym Siwcem.

— Trzeba, żeby najpierw przyszli do komendy. Pogadamy. Później mogą się rozkleić albo zamkną się w sobie i nic z nich nie wydusisz.

— Sierżancie — Tomaszek zwrócił się do Zdobyczą, stojącego przy drzwiach.

— Przypro-wadźcie ich... powiedzmy na godzinę jedenastą.

— W porządku — sierżant pokiwał głową i wyszedł z pokoju.

— Ja tymczasem przespaceruję się ponownie na Różaną. Nie mówiliśmy jeszcze z tą Złotowską.

Zadzwoił telefon.

— Tu Dańda. Dzień dobry, panie magistrze.

— Przyłożył rękę do tubki, powiedział do Tomaszka — Gródecki z daktyloskopii — a potem odezwał się już do telefonu: — Słucham... słucham... słucham... No tak, to oczywiście. Dziękuję

— i położył słuchawkę na aparacie. — Mówi, że na butelce są odciski palców Możdżenia.

— Jasne. Przecież on ją tam przyniósł.

— Albo wręczył Piwińskiemu, gdy ten wychodził od Wieczorków. To odbyło się mniej więcej w tym samym czasie.

— Jeśli mu sam dał butelkę, to oznaczałoby, że chciał otruć Piwińskiego...

— Albo że nie zdawał sobie sprawy, że mleko jest zatrute. Ale sm zginął od tej trucizny. Nie... to nie tak. Tu muszą być jakieś

inne powiązania, o których jeszcze nie wiemy. Na pewno działały jeszcze osoby trzecie, którym zależało, aby ci dwaj zginęli. Wykluczam zbieg okoliczności.

— Ja też — zgodził się Tomaszek. — Na razie cześć. Przespaceruję się do Złotowskiej. Będę przed jedenastą z powrotem.

— Ja spróbuję dowiedzieć się czegoś bliższego o Siwcu.

*

Drzwi do mieszkania Złotowskiej zastał zamknięte i choć dzwonił, a potem mocno pukał, nikt mu nie otworzył.

Dozorczyni była przejęta rozmową z porucznikiem. Widziała zwłoki Piwińskiego na skwerku i mówiła o tym z podnieceniem.

— Nie znałam go. Obcy człowiek. Podobno był u Wieczorków, ale oni go nie zabili. Znam się na ludziach. Na ulicy opowiadają, że to samobójca. Podpił sobie i coś mu strzeliło do łba. Znam się na ludziach. Pewnie mu życie zbrzydło. Czasem człowieka nachodzą takie myśli.

— Tak... tak — potakiwał Tomaszek, któremu dozorczyńni nie dawała dojść do słowa. — Chcę, żeby mi pani powiedziała...

— Są tacy od urodzenia. Nic, tylko żeby sobie życie odebrać. Zawód miłosny albo manko w sklepie... to wtedy tak robią, żeby mieć spokój na zawsze.

— Niech mi pani coś powie o Złotowskiej. Nigdy jej nie ma w domu. Może chora albo gdzie wyjechała?

— Gdzie by ona jechała! Starowina, ledwie to się trzyma na nogach.

— Głucha?

— Nawet nie. Jak co trzeba, to słyszy.

— To czemu nie otwiera?

— A bo ja to wiem, czemu? Raz na tydzień nakupi chleba, masła, jajek i potem furt gnije w domu.

Weszła z porucznikiem na drugie piętro. Porucznik ostro zapukał. Dozorczyni przyłożyła ucho do drzwi. Potem sama walnęła kilka razy pięścią.

— Pani Złotowska! Pani Złotowska! — wrzasnęła. — Otwieraj pani, bo jest tu sprawa do pani!

Nikt z wewnątrz nie odpowiedział. Dozorczyni wzruszyła ramionami.

— Uparła się, stara wariatka. Może wyważyć drzwi?

— No, nie tak prędko — roześmiał się Tomaszek — Chyba jej jednak me ma w domu. Gdzieś sobie chodzi Wczoraj tak samo Pukałem i nic.

Nie przekonało to dozorczyńni Pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Widziałabym ją Wszystko wiem, co się dzieje w tym domu. — Nagle, jakby ją coś olśniło, krzyknęła łapiąc się za głowę: — A jak umarła i leży tam nieżywa? Mogła zemrzeć. Mówię panu, rozwalmy drzwi!

— To me takie proste — powiedział Tomaszek, ale przypuszczenie dozorczyńni wydało mu się możliwe — mech pani uważnie obserwuje, czy Złotowska nie daje znaku życia. Ja tu jeszcze przyjdę i pani mi powie Wtedy

zdecydujemy Dobrze?

- Ma się rozumieć — odparła z pełnym poczuciem odpowiedzialności i z godnością. — Nic się me ukryje przed moimi oczami
Zeszli na dół.
- Aha Czy pani zna mleczarza, który tu przynosi mleko?
- Znam Ni ma za grosz kultury Strzela pojemnikami, jakby był sam na świecie. A ludzie tego nie lubią.
- Co może pani mi jeszcze o nim powiedzieć? Mówiła pani z nim kiedy?
- Nie — skrzywiła się z odrazą — mruk jakiś. Człowiek do niego zagada, a on stoi ino i patrzy Nie lubię takich Tacy są najgorsi.
- A przedwczoraj widziała pani, jak roznosił butelki?
- Wtedy, co to tego znaleziono na ulicy, tak? No, roznosił.
- Która mogła być godzina?
- Czy ja wiem. On zawsze tak koło piątej rano przychodzi
- Czy to ten? — porucznik pokazał jej fotografię Możdżenia.
Dozorczyni przybliżyła zdjęcie do oczu.
- Śpi! — stwierdziła — To on. Niesympatyczny.
- Tak, śpi — kiwnął głową Tomaszek — Idę, a w sprawie Złotowskiej liczę na panią.
- Jakżeby me! Murowane!

*

Dańda oświadczył, że Siwiec me był notowany w kartotece milicyjnej ani w rejestrze głównym. Z tego czego się dowiedział od mieszkańców domu przy Zagrodowej wynikało, że Siwiec nie cieszył się najlepszą opinią, lecz nikt nie miał w stosunku do niego większych zarzutów Tyle że uważano go

za człowieka z marginesu społecznego. Chwytał się podobno czasem jakiejś roboty, częściej jednak zbijał baki i wystawał godzinami przy kiosku z piwem. Dzielnicowy nie umiał powiedzieć niczego istotnego, ponieważ nigdy nie wpłynęła do niego jakakolwiek skarga czy to na zachowanie Siwca, czy też z powodu nieobyczajnego sposobu życia. Dozorca zeznał, że jest to niechluj, wiecznie chodzi w starym, wyszmelcowanym ubraniu, nie pamięta, aby Siwiec komuś kiedykolwiek powiedział „dzień dobry” Wczoraj w godzinach przedwieczornych ani też później nie widział żadnych starszych ludzi idących do niego, a Siwiec wrócił około dziewiątej wieczorem — akurat spotkali się na schodach Rano wcześniej wyszedł, ale to nie pierwszy raz wychodził o świcie.

- I tyle — porucznik Dańda zamknął notes.
- Albo uciekł, albo po prostu gdzieś sobie poszedł i będziemy go mieli lada godzina.
- Nie mamy jeszcze nic dla starego — sapnął Tomaszek
- On by chciał taki nagłówek, co? „Błyskawiczna akcja MO wykryła ponurą zbrodnię” — zaśmiał się Dańda. — Ja bym też tak chciał, bo-bym zaraz sobie

gdzieś pojechał odetchnąć świeżym powietrzem.

– Musisz odłożyć swe plany, bracie. Mamy jeszcze trochę do zrobienia.

– I ja tak sądzę. Ale pomarzyć przyjemnie.

Do pokoju wszedł sierżant Zdobycz.

– Mam tu tych Mózdzeniów Wprowadzić?

– Co, już jedenasta? – Tomaszek spojrzał na zegarek i chciał powiedzieć jakiś aforyzm na temat zbyt szybkiego upływu czasu, ale zaniechał, widząc minę Dańdy, która wyraźnie wskazywała, że słyszał już te mądrości niejedną raz.

– Wprowadźcie!

Dańda podsunął krzesła bliżej biurka. Mózdze-mowie usiedli. Byli zaniepokojeni. Ona trzymała torebkę na kolanach i nerwowo otwierała i zamykała zatrask. On kurczowo zaciskał palce.

– Poprosiliśmy państwa – zaczął Dańda – ponieważ zaszły pewne okoliczności, które zmusiły nas do tego. Otóż.

– Przepraszam – wtrącił się Tomaszek – może najpierw parę pytań. Czy syn państwa pali papierosy?

– Nie! – odpowiedzieli niemal jednocześnie.

– A czy nosi przy sobie zapalniczkę? – O, taką – porucznik pokazał Mózdzeniom zdjęcie zapalniczki, które wyciągnął z tekturowej teczki leżącej na biurku.

Mózdzeniowie przyglądali się uważnie fotografii.

– Nie widziałem tego nigdy u Janka – stwierdził ojciec.

– Ja także nie widziałam – odparła zdecydowanie Mózdzeniowa.

– Co państwo możecie mi jeszcze powiedzieć o Bolesławie Siwcu?

Chwilę milczeli. Potem Mózdzeń rzucił ukradkowe spojrzenie na żonę.

– My już mówili. Taki chudy, że pożał się Boże.

– Ja uważałam, że to nie towarzystwo dla naszego syna – wyrzuciła nagle z siebie Mózdzeniowa. – Nie podobał mi się. Ale można to co powiedzieć Jankowi? Nie słucha się nas...

Ojciec kiwał głową potakująco.

– A co z naszym synem? Do tej pory go nie ma. Może wy coś wiecie? Musicie wiedzieć, bo po co byście nas tu wezwali?

– Gdzie przedtem pracował wasz syn? Bo w młeczami był dopiero od miesiąca, prawda?

– Ano robił gdzieś na kolei. Mówił, że przy wagonach. Przy rozładowaniu.

– Janek jest taki zamknięty w sobie – dopowiedziała usprawiedliwiająco Mózdzeniowa. – Nic nie można z niego wydusić. Czy coś się stało?

Dańda wziął głęboki oddech. Najbardziej nie lubił w swojej pracy chwil, kiedy musiał oznajmiać bliskim denata o jego śmierci.

– Nie żyje. Znaleźliśmy jego ciało poza miastem. Trzeba, abyście państwo rozpoznali zwłoki.

Zapanowała cisza. Mózdzeniowa zamknęła oczy; wypuszczona z rąk torebka

upadła na dywan. Zdobycz podniósł ją i położył na biurku. Stary zakrył dłonią oczy. Porucznicy czekali taktownie, aż starsi ludzie dojdą nieco do siebie po chwili bólu, jaki na pewno przeżywali. Nie trwało to jednak długo. Pierwszy oprzytomniał Moździeń.

— Co panowie mówicie? Nasz syn? Co... co mu się wydarzyło?

— Niestety, to prawda. Został otruty.

Matka wybuchnęła teraz głośnym płaczem.

— Nie rozumiem — Moździeń zaczął się cały trząść. — Dlaczego? Kto go otrul? To niemożliwe!

— Współczujemy wam — powiedział Tomaszek — ale fakty są faktami. Dlatego powinniście pomóc nam przy wykryciu sprawcy tego ohydneho czynu. Każda informacja może się nam przydać.

Moździeń rozłożył bezradnie ręce.

— My nic nie wiemy. Janek chyba nie miał wrogów. Przecie stronił od ludzi. Nawet mieliśmy mu to za złe...

— Czy nie wchodziła tu w grę jakaś kobieta? Mówiliście, że syn nie sprowadzał nikogo do domu, prawda? Ale może słyszeliście o jakiejś kobiecie w jego życiu? Może coś wspomniał? Albo wiecie, gdzie chodził?

— Nie wiemy! — krzyknęła rozpaczliwie Móźdzeniowa. — Nie wiemy! Bolałam zawsze nad tym! Gdzie on jest? Pokażcie mi, gdzie on jest? To na pewno nie Janek!

— No, a ten Siwec? Tak mało o nim wiecie? Czy wczoraj po południu albo wieczorem nie widzieliście się z nim?

Zaprotestowali jednocześnie. Nie wychodzili w ogóle z domu. Cały czas rozmawiali ze sobą, podnieceni wizytą milicji. Nie mogli spać, bo Janek nie wrócił, a wizyta milicji nie wróżyła niczego dobrego. Myśleli, że może co nabroił albo się z kim pobił, ale że nie żyje, w ogóle nie pomyśleli.

Siwec! To sprawka Siwca, Móźdzeniowa twierdziła to z całym przekonaniem. Przeczucie matki zawsze się sprawdza. To był zły duch i wyglądał jak potępieniec.

Wreszcie Dańda poprosił, by pojechali z nim obejrzeć zwłoki syna. Zdobycz ujął Móźde-niową pod rękę, bo wstając zatoczyła się jak nieprzytomna. Wsiedli do czekającego na dole samochodu.

Tomaszek tymczasem poszedł do kapitana Smulskiego. Dokładnie zrelacjonował mu wszystko, co zrobili dotychczas.

— To niewiele — kapitan klepnął się kilka razy po udzie. — Musicie jak najszybciej mieć tego Siwca czy Siwieca, diabli wiedzą, jak brzmi czwarty przypadek od takiego nazwiska..

— To chyba będzie nietrudne — rzekł Tomaszek. — Nie przypuszczam, aby nawiał. O ile naturalnie on sam nie jest wmieszany w te morderstwa. A teraz problem. Wchodzić do mieszkania tej Złotowskiej, czy jeszcze poczekać?

— Wchodzić! Masz opory?

- Przyznam się, że tak.
- Dlaczego? Stara kobieta, od dwóch dni nikt jej nie widział, ja zawierzyłbym w tym wypadku dozorczyńni. Wydaje się, że to wścibska baba i lubi wiedzieć wszystko o wszystkich w jej kamienicy. Ostatecznie macie powody do niepokoju, mogło się staruszce coś przytrafić. Będzie w domu, przeprosicie ją uprzejmie i nie powinna mieć żalu. Powiecie jej, że weszliście w trosce o jej zdrowie czy coś takiego.
- Dobra. Wezmę Sroczyńskiego.
- O, właśnie. Mam nadzieję, że nie zdemoluje jej drzwi.
- Robi to bezboleśnie – zgodził się Tomaszek.
- Aha – przypomniał sobie kapitan – szukało was laboratorium. Mają dane dotyczące tej zapalniczki.
- Już do nich dzwonię, bardzo mi na tym zależy.
- Chłopcy, bierzcie się do roboty. Pułkownik już pytał, co się dzieje i chciałby mieć jakieś konkrety na biurku.
- Tak jakby się nam nie śpieszyło... To kłębek bardzo zawikłany. Gdy się znajdzie początkową nitkę, już dalej pójdzie, ale trzeba ją znaleźć.

*

Laboratorium podało następujące dane:

Zapalniczka gazowa, nie będąca w sprzedaży w kraju, typu Consul Tempo, wyrób angielski. Reklamówka zachodnioniemieckiej telewizji i radia. Wyraźne odciski palców jednej osoby, w kartotekach daktyloskopijnych nie notowanej. Część gazu zużyta, kamień do zapalniczki pochodzenia zachodnioniemieckiego. Stan zapalniczki wykazuje, że była używana od dłuższego czasu. Ślady daktyloskopijne nie należą ani do Piwińskiego, ani do Możdżenia.

Tomaszek aż skrzywił się po przeczytaniu krótkiego raportu. Jeszcze jedna komplikacja więcej. Może właśnie ta zapalniczka jest ważnym szczegółem w dochodzeniu, a może nie ma nic wspólnego z morderstwem Możdżenia?

Wrócił Dańda. Mózdzeniowie rozpoznali zwłoki swego syna. Stara kobieta kilka razy mdlała, dobrze, że wziął ze sobą sanitariusza, który się nią zaopiekował. Nadszedł również Zdobycz, który tymczasem sprawdził w kamienicy, że rzeczywiście Mózdzeniowie nie wychodzili z domu od wizyty poruczników.

– Więc Siwiec nie wiedział nic o śmierci Możdżenia lub właśnie wiedział i spodziewając się odwiedzin milicji, wolał się ulotnić – orzekł Tomaszek. – Trzeba faceta odnaleźć za wszelką cenę. Ktoś czuwa tam w pobliżu?

Sierżant Zdobycz z uśmiechem skinął głową.

- Znam swoją robotę. Gdy się zjawi, będziemy natychmiast wiedzieli o tym.
- Do czego się teraz bierzemy? – spytał Dańda.
- Ja do Złotowskiej, a ty... – zastanawiał się przez chwilę – a ty pogadaj z tymi, co popijają sobie piwko w kiosku. Może oni coś powiedzą nam o Siwcu?
- Chętnie sam wychylę buteleczkę Żywca – zatarł ręce Dańda. – Straszny skwar dzisiaj.

— Tylko nie na koszt państwowy — zaśmiał się Tomaszek.
— Stać mnie na dwie butelki — odpowiedział Dańda podnosząc dumnie głowę.

*

— Jest co nowego? — Tomaszek przywitał się z dozorczynią z ulicy Różanej.
— Ani słychu, ani dychu. Mówię panu, coś mi się to nie podoba — odpowiedziała. — Rozwalmy drzwi. Jeszcze się ze trzy razy do niej dobijałam i nic.

— Wejdziemy bez naruszenia drzwi — rzekł spokojnie Tomaszek — mamy fachowca od takich rzeczy.

Dozorczyńni obrzuciła Sroczyńskiego, który stał nieco z tyłu, taksującym spojrzeniem. Przez ramię miał przewieszoną skórzaną torbę z narzędziami. Nadszedł również sierżant Zdobycz.

— Jak chcecie — powiedziała i pierwsza zaczęła iść po schodach na drugie piętro.

— I nikt z kamienicy jej nie widział?

— Nikt. Wypytałam wszystkich lokatorów. Mówią, że mam rację. Mogła zemrzeć.

Ślusarz Sroczyński niezbyt długo bawił się z zamkiem przy drzwiach. Okazało się, że były zamknięte jedynie na yalowski zatrzask. Weszli do ciemnego przedpokoju. Dozorczyńni przekreśliła kontakt i u sufitu zabłysła żarówka zwisająca na drucie. Zakurzona i popstrzona przez muchy.

— Pani Złotowska! — zawołała dozorczyńni. — Co się z panią dzieje?

Nie było odpowiedzi.

— Hej, jest tam kto? — powtórzyła dozorczyńni. — Pani Złotowska! — i, nie namyślając się dłużej, otworzyła drzwi od pokoju. Panował tu półmrok, ponieważ story na oknach były zaciągnięte i ledwie, ledwie przepuszczały światło dnia.

— Zaraz zapalę — powiedziała zbliżając się do ściany. Rozbłysnął duży, mosiężny świecznik. Pokój był umeblowany starymi antycznymi meblami. Na ścianach wisiały w solidnych złotych ramach obrazy. Na kredensie stały błyszczące figurki z brązu. Na stole zasłanym obrusem pobłyskiwała pośrodku wielka kryształowa waza. Był jeszcze sekretarzyk i trójkątna oszklona szafka w kącie. Krzesła ciasno przyciśnięte do stołu.

— Złotowska ma trzy pokoje — oznajmiła dozorczyńni. — Mówiłam, żeby wzięła sobie jakiego sublokatora, ale nie chciała. W tamtym pokoju sypia — wskazała drzwi po prawej.

Weszli. Duże stylowe łóżko, niezbyt starannie zasłane, nad łóżkiem rozwieszona wielka turecka chusta, na niej lśniący ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej, a pod nim dwie skrzyżowane szable. Okna zasłaniała tiulowa firanka. Na nocnym stoliku obok łóżka flakoniki, najprawdopodobniej z lekarstwami, otwarta książka i okulary. Pod ścianą szeroka, rozłożysta szafa i tremo z paroma

szufladami po bokach. Na parkiecie stary, wysłużony dywan.

— Wygląda, jakby jej nie było — stwierdził Zdobycz.

— Czy ja jestem jeszcze potrzebny? — zapytał Sroczyński.

— Niech pan zostanie. Może się pan jeszcze przydać — powiedział Tomaszek i ślusarz kiwnął głową na zgodę.

Nagle posłyszeli krzyk dozorczyńni. Stała w drzwiach na progu trzeciego pokoju i zatykając sobie usta pięścią, krzyczała przerażona. Tomaszek skoczył do niej. Ręką wskazała w głąb pokoju.

Na podłodze, z rozwichrzonymi siwymi włosami leżała stara kobieta, w szlafroku podwiniętym do połowy ud. Dozorczyńni nadal głośno zawodziła. Zdobycz huknął na nią:

— Niechże się pani uspokoi!

Oprzytomniała i chciała podejść do Złotowskiej, lecz Tomaszek pociągnął ją za łokieć do tyłu.

— Proszę się nie zbliżać! — Sam znalazł się przy leżącej i przyklęknął. Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać, że kobieta nie żyła już od dłuższego czasu. Dotknął gołej łydki. Była zimna. Między włosami dostrzegł cienkie pasmo zakrzepniętej krwi.

— Czy to Złotowska? — spytał odwracając głowę w stronę dozorczyńni.

— Ona! Ona!

Dopiero teraz, kiedy nachylił się nad głowę Złotowskiej, zobaczył duże kawałki szkła z rozbitej butelki. Butelka, którą uderzono Złotowską, musiała być pusta, bo nie dostrzegł śladów po rozlanym mleku. Wstał i zwrócił się do Zdobyczą:

— Zadzwońcie, mech przyślą ekipę, lekarza karetkę i prokuratora.

Dozorczyńni już przyszła do siebie. Nad początkowym przerażeniem od razu wzięła górę ciekawość.

— Co jej się stało? Tak zmarła od siebie czy co innego?

— Wyjdźmy stąd — powiedział porucznik i ujął dozorczyńnię pod rękę, by wyprowadzić ją z pokoju.

— Niechże pan powie! Ja wiedziałam, że ona nie żyje, wiedziałam, tak mi mówiło przecucie! Ja się znam — opierała się porucznikowi, nie mogąc oderwać wzroku od zwłok Złotowskiej.

— Proszę usiąść — podsunął jej krzesło, kiedy przeszli do pierwszego pokoju. — Co pani wie bliższego o Złotowskiej?

— Ja wiem wszystko! — odpowiedziała dumnie dozorczyńni — Przede mną nic się nie ukryje.

— Niech pani mówi!

— Od czego mam zacząć, bo wiem dużo Złotowska mieszkała tu jeszcze przed wojną, jak i ja. Znam ją z pięćdziesiąt lat.

— Powie nam pani oczywiście wszystko, co pani wie, ale może najpierw ja będę pytał, dobrze?

Bal się, że zaleje go tysiącem nieistotnych faktów, które będzie opowiadać bez

ładu i składu. Wolał sam pokierować informacjami.

– Ja już chyba jestem niepotrzebny – odezwał się Sroczyński, błądy i wstrząśnięty widokiem zamordowanej staruszki.

– Możecie iść! – zgodził się Tomaszek. Ślusarz skłonił się i opuścił mieszkanie, trzaskając drzwiami wejściowymi.

– Interesuje mnie – oświadczył porucznik siadając naprzeciw dozorczyńni – z kim Złotowska kontaktowała się w ostatnich latach i miesiącach? Czy miała jakichś krewnych? Kto do niej przychodził?

– Krewnych to ona nie miała – powiedziała dozorczyńni – nikt się nią nie opiekował. Jak była słaba i czegoś potrzebowała, leciałam do niej i pomagałam. A kto by tam do niej przychodził? U nas to starych się nie szanuje. Rodzina pomarła, mąż jeszcze przed wojną się zawiął i umarł na serce, a dzieci nie mieli. Zawsze powtarzała, jak to źle nie mieć dzieci. Nikt do niej nie zachodził. Mogę to przysiąc.

– Z czego żyła?

– Miała jakąś rentę. Coś sprzedawała, bo przed wojną to oni byli bogaci. Ho, ho, pieniędzy

mieli w bród Skapa była, każdy grosz oglądała dwa razy. zanim go wydała

– A pani płaciła za te usługi?

– Coś tam kapła od czasu do czasu Ale mało Machnęłam ręką Serce mam dobre i wyrozumiałość, bo jak nie pomóc takiej starej? Co dała, to wzięłam, ale się me spierałam, że mało

– Kiedy była pani ostatni raz u niej?

– Będzie z tydzień temu Dała mi rachunki za czynsz i elektrykę, żebym zapłaciła na poczcie Wyliczyła sumę co do grosza Czy ona na serce?

– chciała się czegoś dowiedzieć w zamian za udzielane informacje

– Przyjdzie lekarz, to powie1 – zbył ją porucznik i dalej wypytywał – A może miała jakichś wrogów, ktoś się jej odgrażał?

Dozorczyńni spojrziała podejrzliwie na porucznika Potem uśmiechnęła się z satysfakcją i mrugnęła okiem

– Ona tak nie zmarła Coś tu innego wchodzi w rachubę Pan me chce powiedzieć, ale ja wiem Przede mną się nic nie ukryje

– Nie odpowiedziała pani na pytanie – rzekł chłodno porucznik

– Jakże taka stara może mieć wrogów? – rozłożyła ręce – Ledwie toto się trzymało na nogach, a pan o wrogach

– Może była skłócona na przykład z kimś w kamienicy?

Zaprzeczyła ruchem głowy

– Mówi pani, że była bogata, więc może pozyczyła komuś większą sumę? Jeśli pani wszystko wie, to i o tym powinna pani słyszeć

– A przyzna się kto, że ma dzisiaj pieniądze i że pożyczka? Pan me zna ludzi? Jak ktoś coś ma, to milczy jak grób – wymówiwszy to słowo spojrziała w kierunku pokoju, gdzie leżała Złotowska i przezegnała się znakiem krzyża

- A czy znała mleczarza, co jej nosił mleko?
- Pewnie, że znała Ona wstawiała wcześniej rano Nieraz słyszałam, jak gadała do mleczarza, że fałszują mleko i dają wodę
- A on co na to?
- Mruk był, coś pomruczał i koniec
- Otwierała drzwi i rozmawiała z nim?
- Jakby gadała przez drzwi, tobym nie słyszała Gderliwa była, to narzekała I jeszcze inne rzeczy mówiła, że strach nawet wspomnieć. Jej się mc me podobało Stale tylko, jak to dobrze było przed wojną
- A widziała pani ludzi, którzy przychodzili, żeby coś od niej kupić? Mówiła pani, że coś sprzedawała
- Nikt do mej me przychodził
- A skąd pani wie, że coś sprzedawała?
- Skąd – obruszyła się dozorczydni. – Jak mówię, to znaczy, że wiem
- Ale na jakiej podstawie pani tak twierdzi?
- Dozorczydni westchnęła, zniecierpliwiona niedowierzaniem porucznika
- Bo się raz wygadała, że musi pozbywać się majątku, bo inaczej by zdechła z głodu No, już wie pan?
- Jeśli pani me widziała u niej nikogo, to prawdopodobnie sprzedawała jakieś rzeczy drobne, które sama mogła wynieść z domu Złoto, klejnoty, prawda? Nie mówiła, że ma coś takiego w mieszkaniu?
- A pan by się przyznał, że ma? – uśmiechnęła się drwiąco dozorczydni, coraz bardziej ośmielona w stosunku do porucznika Czowała, że jej wypowiedzi mają dla oficera milicji duże znaczenie
- Tomaszek me zareagował i zażądał stanowczo.
- Proszę mi odpowiedzieć na pytanie
- Nie mówiła, ale była bogata. Jej mąż miał przed wojną jakąś fabrykę. Nawet Niemcy w czasie okupacji ją szanowali Mieszkał u niej jeden oficer, bo jej zajęli pokój, i greczny był dla niej nadzwyczaj. Panie, bogacze wszędzie mają chody. Panie – pochyliła się w stronę Tomaszka – ona niezwykajnie umarła, niechże pan powie?
- Porucznik wstał i przysunął krzesło do stołu.
- Przyjdzie lekarz, to będziemy wiedzieli Nie jestem specjalistą.

*

W piętnaście minut później zjawiała się ekipa dochodzeniowa, a po niej przyjechali lekarz, prokurator i kapitan Smulski. Dozorczydni stała na schodach i starała się podsłuchać, co mówią Zdobycz zamknął drzwi

- Co tam znowu nowego? – kapitan klepnął porucznika po ramieniu.
- Tomaszek pokazał mu trzy palce.
- Wiem – zasepił się Smulski. – Sądziysz, że to ma coś wspólnego z tamtymi?
- Na pewno

- Trucizna?
- Tak na pierwszy rzut oka – uderzenie w głowę butelką
Przeszli do pokoju zabitej. Ekipa pracowała Błyski flesza, wstępne oględziny lekarskie, bada-
nie śladów, prace daktyloskopijne Doktor Ba-ryczko dźwignął się z kłeczek
– Zgon nastąpił jakieś pięćdziesiąt godzin temu, może trochę mniej albo więcej, trudno tak powiedzieć. Złamanie podstawy czaszki od uderzenia. Otrzymała prawdopodobnie dwa albo trzy ciosy. Resztę wykaże obdukcja.
Weszli sanitariusze. Ułożyli zabitą na noszach i nakryli prześcieradłem. Wynieśli ciało do karetki stojącej na ulicy, gdzie zebrał się tłum ciekawskich.
– Znowu butelka – powiedział prokurator Nowak – a my jeszcze nic nie wiemy o pierwszej. Z tego, co słyszę, Złotowskiej przynosił mleko Moździerń. Dlaczego więc ta butelka była pusta?
– Właśnie, dlaczego? – zastanowił się Smul-ski. – Jeśli ktoś wtargnął do mieszkania Złotowskiej, byłoby bardziej zrozumiałe, gdyby zginęła od uderzenia butelką z mlekiem.
– O ile otrzymała mleko tego ranka – rzekł porucznik Tomaszek.
– Przecież wszystkim w tym dniu dostarczone mleko! Tak stwierdziliście. – Kapitan przechylił głowę i spojrzał z ukosa na porucznika.
– Wszystkim, z którymi rozmawialiśmy. Ze Złotowską nie mówiliśmy o tym, bo nie mogliśmy.
– Zatem skąd domniemanie, że nie wzięła butelki z mlekiem?
– Macie jakąś koncepcję? – zapytał prokurator. – Jeśli macie, to słuchamy.
Porucznik Tomaszek wytarł chusteczką czoło. W pokoju panował zaduch, lecz spociał się także z wrażenia. Naraz bowiem przyszło mu na myśl coś tak prostego i oczywistego, że mogło się wydać w tej skomplikowanej sprawie czymś bzdurnym i banalnym.
– Wydaje mi się, że Piwiński wychodząc od Wieczorków nad ranem, zobaczył butelkę z mlekiem pod drzwiami Złotowskiej i po prostu wziął ją spod drzwi, by się napić. Ja kiedyś sam po jakiejś zabawie kupiłem mleko od mleczarza rozwożącego butelki. To dobre na kaca.
– Zabrał, wypił mleko i otruł się cyjankiem?
– kapitan nie był przekonany. – Znaczyłoby to, że ktoś zamierzał otruć Złotowską, a jedynie przez przypadek zginął ktoś inny.
– Dlaczego nie? – prokurator rozłożył ręce.
– Nie wykluczam takiej możliwości.
– Zdobyłem nieco wiadomości o Złotowskiej
– powiedział Tomaszek, trochę speszony słowami Smulskiego. – Według wszelkiego prawdopodobieństwa miała klejnoty albo może dolary. Złotowscy byli przed wojną bardzo bogaci.
– Ale któż chciał się jej pozbyć? Mleczarz, który sam zginął otruty? Skąd by

wiedział, że właśnie ta lokatorka ma biżuterię czy coś podobnego? — kapitan nie dawał za wygraną i trwał nadal w roli niedowiarka.

— Tego jeszcze nie wiemy — orzekł prokurator — ale koncepcję porucznika trzeba uznać za możliwą. Nie twierdzą, że jest ona prawdziwa, ale jest prawdopodobna.

— Kiedy mi ją udowodnicie, wtedy i ja uwierzę

— wzruszył ramionami Smulski — na razie jednak to tylko koncepcja. Trochę uproszczona, bo eliminująca Piwińskiego z tej całej afery. I to mi się właśnie nie podoba.

Do pokoju wszedł sierżant Kowalski z ekipy operacyjnej.

— Znaleźliśmy, obywatelu kapitanie, coś ciekawego — i poprowadził ich do trzeciego pokoju. W jednej ze ścian widniał niewielki otwór wybity jakimś ostrym narzędziem. — Ktoś tu dziabał, bo to świeże — dotknął palcem cegły i pokazał czerwony ślad na opuszkach. — Później przykrył tym kilimem — złożony kilim leżał na podłodze.

Przyjrzeni się z bliska otworowi. Był głęboki na jakieś trzydzieści centymetrów. Pod ścianą natomiast nie znaleźli okruchów cegły, przynajmniej nie dostrzegano się ich gołym okiem.

— To już jest coś... — pokiwał głową prokurator — przestępca posprzątał po sobie skrupulatnie.

— Widocznie miał czas i nie obawiał się, że ktoś mu w tym przeszkodzi — zakonkludował kapitan — czyli że nie tylko wiedział, gdzie ma czego szukać, ale i wiedział, że u Złotowskiej warto szukać.

— Tak. A Złotowska nie utrzymywała stosunków z nikim — oznajmił Tomaszek. — Dozorczyni twierdzi, że tylko ona czasem przychodziła do Złotowskiej, by posprzątać lub przynieść coś z miasta.

— Przepytałicie dozorczynię?

— Naturalnie. Wzięłam ją, by asystowała przy otwarciu mieszkania.

— Co to za kobieta?

— Raczej nieciekawa.

— Mogła to zrobić?

— Nie sądzę.

— Czy ma klucze od mieszkania Złotowskiej?

— Nie pytałem jej o to.

— Błąd.

— Jak zamek? Naruszony?

— Nie. Sroczyński otworzył go bez trudu. Zamknięte było tylko na zatrask. Dozorczyni raczej jej nie zabiła

— Może me zabiła, ale mając klucze mogła wejść i korzystając z okazji dostać się do skrytki i wejść w posiadanie majątku Złotowskiej. Trzeba dobrze zbadać zamek, ślady na drzwiach. Sierżancie — zwrócił się do Kowalskiego — żeby nic nie uszło waszej uwagi. Robota musi być precyzyjna i szczegółowa.

- Zrobi się — odparł sierżant Kowalski.
- W każdym razie na to wygląda, że Złotowską zabito dla czegoś, co było ukryte w tej ścianie
- powiedział prokurator Nowak — a czy to były klejnoty, czy coś innego, na razie nie wiadomo.

Porucznik Tomaszek strzelił palcami.

- Coś tu jednak nie gra. Dozorczyńni powiedziała, że Złotowska wyprzedawała się od dłuższego czasu. Zapewne miała więc klejnoty czy też dolary, które wynosiła z domu. Odkucie jest świeże. Tego chyba ona nie mogła zrobić. Nie dałaby rady. Nie znaleźliśmy też narzędzi. Gdyby sama kuła, leżałyby gdzieś narzędzia.

- Mogła to z powodzeniem uczynić dozorczyńni — zaopiniował kapitan — albo ktoś, kto był z nią w spółce, a kogo wpuściła do mieszkania Złotowskiej.

- Ktoś ją zabił, a potem ktoś inny okradł? —prokurator nie wierzył w taki zbieg okoliczności

- dowody... dowody, potem będziemy kombinować, jak to się stało. A może wcale nie chodziło o klejnoty, tylko o jakieś dokumenty, jakieś papiery? Wszystko możliwe. Powiadacie, poruczniku, że Złotowska wychodziła czasem z domu. Dozorczyńni, o ile miała klucze, mogła okraść ją dużo wcześniej i nie uciekając się aż do mordy. Zaczyna mi się podobać coraz więcej koncepcja porucznika, że Złotowską zamierzano otruć, potem wtargnąć do mieszkania i zdobyć to, co było w skrytce.

Tomaszek wzrokiem podziękował prokuratorowi za tę wypowiedź.

- To ja powtórzę za tobą — rzekł kapitan do prokuratora — dowody,, dowody..

- Przyjdzie czas i na dowody Wierzę w porucznika.

- Porozmawiam jeszcze raz z tą dozorczynią

- powiedział Tomaszek

- Tylko się z nią nie patyczkujcie. O Złotowskiej też chcę wiedzieć wszystko. Wszystko! Kto zacz, co zacz. Komplet! Rozumiecie? Operacyjni na pewno coś dorzucą. Mieszkanie to otwarta księga. Wiele mówi o ich właścicielach. Jak się umie czytać w tej księdze, pół roboty załatwione.

Wyszli na ulicę. W bramie Tomaszek natknął się na dozorczyńnię. Rzucił okiem na zegarek.

- Przyjdzie pani o szesnastej do komendy. Dzisiaj.

- Nigdy tam nie byłam — przestraszyła się kładąc ręce na piersiach. — Przecież wszystko już powiedziała jak na spowiedzi.

- Nie była pani? To przyjdzie pani i zobaczy, jak u nas miło. O czwartej! Złapała porucznika za rękaw.

- Wyszło co nowego?

- Przyjdzie pani, porozmawiamy.

Kiwnął jej ręką, dołączył do kapitana i prokuratora

— Nie sprawia najlepszego wrażenia — stwierdził prokurator — ale wygląd o niczym nie świadczy. Ma swój rozumek, co?

Tomaszek uśmiechnął się, przypomniawszy sobie niektóre zwroty dozorczyńni.

— Na swój sposób ma.

*

Dańda wysłuchał relacji Tomaszka w skupieniu. I jemu nie wydawało się prawdopodobne, aby dozorczyńni była zamieszana w tę sprawę.

— Najgorsze — powiedział — że nie wiemy, skąd pochodziła butelka z zatrutym mlekiem, z której uraczył się Piwiński. Czy to była butelka, którą przyniósł Możdzeń dla Złotowskiej, czy jakaś inna? Śmierć Możdżenia wskazuje, że te dwa fakty należy łączyć ze sobą, lecz nie mamy żadnych podstaw, by sądzić, że Możdzeń świadomie chciał otruć Złotowską, skoro później sam padł ofiarą tej samej trucizny.

— Salami! — Tomaszek podniósł palec. — Mógł zjeść kanapkę z salami!

— Więc musiał go ktoś poczęstować, przecież sam by sobie nie przyprawił tak kanapki.

— Ale dlaczego kilkadziesiąt kilometrów za miastem? Można go było przecież otruć gdzieś o wiele bliżej?

— Może to było umówione z góry spotkanie?

— Na przykład z Liwcem. Dowiedziałeś się czego o nim?

— Wypiłem te dwa piwa i przez jakieś półtorej godziny gawędziłem ze stałymi bywalcami kiosku. Owszem, znają Siwca. Chętnie nawet opowiadali o nim, bo sam ich intrygował swoim zachowaniem.

— I poza tym nic szczególnego, co? — Tomaszek uderzył się pięścią w kolano. — Nie twierdzę, że Siwiec dokonał tych dwóch zabójstw — czy trzech, jeśli wliczymy Piwińskiego — bo skąd by wziął cyjanek? To towar chyba dla niego raczej niedostępny, ale on by jakoś wyjaśnił sprawę Możdżenia. Bez tego nie ruszymy. Jeżeli nie jest winien, dlaczego uciekł? Nie pojawił się do tej pory.

— A jeśli jest następną ofiarą?

— Niech to szlag trafi! — zdenerwował się Tomaszek. — Aleś mnie pocieszył!

*

W mieszkaniu Złotowskiej sierżant Kowalski znalazł w sekretarzyku kilka złotych pierścionków, jeden z dość dużym kilkukaratowym brylantem, dwie złote bransolety i 437 dolarów w małych odcinkach. Żadnych innych śladów poza odciskami palców Złotowskiej na różnych przedmiotach codziennego użytku nie znaleziono. Ekspertyza stwierdziła świeże odkucie ściany na wysokość i szerokość dwóch cegieł, głębokie na 30 cm. W schowku widoczny ślad, najprawdopodobniej po pudełku, odcisnięty w pyłe prostokąt o bokach 18 cm na 12 cm. Na kilimie nie znaleziono niczego, co mogłoby być przedmiotem dalszej analizy.

— To chyba zupełnie wyklucza udział czy współudział dozorczyńni we wtargnięciu do mieszkania. Wzięłaby przecież przede wszystkim to, co znajdowało się w sekretarzyku. Czyli komuś szło o schowek i o to, co on krył. — Tomaszek robił szczegółowe notatki, wypowiadając głośno swe myśli.

Porucznik Dańda stał w otwartym oknie i patrzył w niebo spod półprzymkniętych powiek.

— Mamy nowy problem — podszedł nagle do biurka, przy którym pisał Tomaszek. — Czy ten schowek sporządziła sama Złotowska, czy też w ogóle nie wiedziała, że coś takiego ma w swym pokoju?

— Mogła część majątku trzymać pod ręką, tę część, którą przeznaczyła do sukcesywnej sprzedaży, a resztę zamurować — Tomaszek podniósł głowę znad notatnika.

— Pewnie, że mogła — przyznał Dańda — ale na pewno nie ona odkuła ten kawałek ściany. Do tego trzeba było mocnej ręki.

— Przywołała kogoś, by jej odkuł, potem ten ktoś zobaczywszy, co ma przed sobą, dzielił staruszkę w głowę...

— Butelką! — wtrącił Dańda.

— Wypada zatem, że Moźdzeń! Co? I mamy sprawę rozwiązana!

— Tak by się wydawało. — Dańda z opuszczonymi rękami usiadł na krześle naprzeciw. — Można wymyślić jeszcze dziesięć innych, tak samo prawdopodobnych hipotez i co z tego? Klops!

— Jednak coś nam tu zaczęło się układać, coś wiązać. Czuję, że krążymy koło czegoś, co nam otworzy oczy.

— Diabła tam przeczucia! Realia, daj mi realia.

— Z rękawa ci wytrzępię? Wejść! — powiedział, bo ktoś zapukał do drzwi.

Wszedł sierżant Zdobycz z kartką w rękę.

— Mam adres i nazwisko kobiety, która przed godziną dopytywała się u dozorczy o Siwca. Janina Barabasz, Szopena 11, mieszkania 5.

Dańda wstał.

— Poznam się z tą panią.

Tomaszek podniósł kciuk do góry.

— Powodzenia.

*

Rozmowa porucznika Tomaszka z dozorczynią z Różanej nie trwała długo. Nie wierzył bowiem, aby to ona dobrała się do schowka, a dla zmylenia milicji pozostawiła w sekretarzyku tyle klejnotów i dewiz. Wartość klejnotów była tak wielka, że nie potrzebowałyby szukać jeszcze czegoś więcej. Zresztą ludzie jej pokroju nie zrezygnowaliby z podobnej gratki dla zachowania pozorów. Zapasowych kluczy nigdy nie miała, bo Złotowska wcale nie kwapiła się, by powierzać jej opiekę nad mieszkaniem.

— Stara co jakiś czas zmieniała zamki. Skąd bym mogła mieć drugie klucze?

— Mając pełne zaufanie do pani, pewno dała pani drugi komplet kluczy na wypadek, gdyby się jej coś stało?

— Ona nie była taka, pan jej nie znał. Dawniej może i dałaby, ale na starość się odmieniła. Nikomu nie wierzyła! Wszystko sama i sama. A klucze? — dozorczyjni zatrzepotała rękami. — Gdzieżby mi dała klucze!

— A jak ktoś miał do niej interes? Wpuszczała do mieszkania?

— Nikt do niej nie łąził. Mówiłam panu, że załatwiała jakieś interesy na mieście. Sama szła na tych swoich chorych nogach.

— A jakby ktoś obcy zapukał, wpuściłaby go do środka?

— Chyba nie. Zawsze pytała najpierw przez drzwi, kto tam. Obcego by nie wpuściła.

— A panią? Wpuszczała normalnie?

— Bo krzyczałam, że to ja, to mi otwierała.

— Mówiła pani, że czasem rozmawiała z mleczarzem. Czy takiego mleczarza wpuściłaby do domu?

— Nie! — stwierdziła stanowczo dozorczyjni.

— Więc rozmawiała z nim przez zamknięte drzwi? I pani by to słyszała na dole?

— Nie widział pan łańcucha przy jej drzwiach? Uchyłała drzwi i tak z nim gadała. Zawsze jej o mleko chodziło.

Potem dozorczyjni starała się wyciągnąć od porucznika przyczyny śmierci Złotowskiej i z triumfem w oczach i głosie chwaliła się, że pierwsza domyśliła się, co spotkało staruszkę.

Tomaszek wysłuchał cierpliwie wszystkich jej uwag i domysłów, wreszcie podziękował za okazaną dotąd pomoc. Dozorczyjni wyszła z komendy w pełni usatysfakcjonowana.

*

Porucznik Dańda siedział naprzeciw bardzo ładnej blondynki. Czuł się nieco speszony. Janina Barabasz miała długie, wysmukłe nogi, które sukienka odsłaniała niemal do połowy ud. To musiało robić wrażenie na każdym mężczyźnie. Zresztą i inne części ciała, których też nie kryła zanadto przed światem, miała Barabasz w najlepszym wydaniu. Dańda był przystojnym młodym człowiekiem, czułym na wdzięki kobiece. Wprawdzie charakter jego zawodu wykluczał jakikolwiek wpływ uroków kobiecych na jego pracę, lecz porucznik nie mógł się oprzeć fascynacji tak piękną dziewczyną.

Barabasz nie zachowywała się prowokująco. Na pewno zdawała sobie dobrze sprawę ze swej urody i wrażenia, jakie czyni na mężczyznach, lecz nie demonstrowała tego zbyt nachalnie. Po prostu to był jej sposób zachowania, który oczywiście starsze panie uznałyby za wyzywający, ale ludzie młodzi za rzecz najzwyklejszą.

Pokoik, w którym się znajdowali, przypominał nieco buduary z francuskich trzeciorzędnych komedii filmowych w stylu retro, był niby elegancki, niby

kobieco przytulny, ale w istocie pretensjonalny i w złym guście. Na pierwszy rzut oka można by było sądzić, że właścicielka zajmuje się rzemiosłem niezbyt mile widzianym przez społeczeństwo i milicję. Były to jednak pozory. Janinę Barabasz, magister filologii romańskiej, uważano powszechnie za bardzo zdolną i wróżono jej piękną przyszłość. Skąd zatem jej zainteresowanie Siwcem?

— Czy napije się pan kawy? Parzę na sposób algierski — dodała nie spuszczać oczu z Dańdy.

— Nie, dziękuję. Przyszedłem, aby zadać pani kilka pytań.

— Jestem do dyspozycji. Czy panu idzie o coś z zakresu literatury francuskiej?

— Nie... nie — zaśmiał się porucznik — idzie o coś bardziej przyjemnego.

— Pan mnie zaciekawia... — wzięła papierosa i Dańda pośpieszył z zapalkami. Sam nie palił, lecz: nosił zawsze przy sobie pudełko zapalek. — No więc słucham — puściła jasną smugę dymu z na pół otwartych ust.

— Czy zna pani niejakiego Bolesława Siwca?

Chwilę nie odpowiadała, patrząc przenikliwie na porucznika.

— Znam. Nawet dobrze go znam — zaakcentowała to „dobrze” z nieco ironicznym podtekstem. — Więc Bolkowi zawdzięczam pańską wizytę?

— Czy pani wie, gdzie on teraz przebywa?

— Nie wiem, gdzie on bywa. Każdy człowiek ma swoje tajemnicze ścieżki, które ukrywa przed innymi. Pozwólmy zatem mieć i jemu.

— Tak się złożyło, że chciałbym z nim zamienić kilka zdań. Może pani wie o jakiejś jego ścieżce, na której moglibyśmy się spotkać?

— Niestety... — znowu rozchyliła usta wypuszczając dym.

— Pani go dzisiaj szukała, prawda?

— Tak — uśmiechnęła się rozbawiona pytaniem porucznika. — Jak widzę, nasza dzielna MO wie o wszystkim. Nie szukałam go, po prostu byłam u niego, lecz go nie zastałam, o czym pan też na pewno doskonale wie.

Porucznik skinął głową. Właściwie denerwowała go swoim zachowaniem, lecz nie umiał tego pokazać po sobie, pozostając nadal pod jej urokiem. Ciekawiło go przede wszystkim, co tak piękna kobieta miała wspólnego z Siwcem, który, a wszyscy byli zgodni co do tego, nie należał do najwartościowszych przedstawicieli społeczeństwa.

— Co panią z tym człowiekiem łączy? Pytanie niedyskretne, lecz w tym układzie niezbędne.

— Nie mogę panu utrudniać wykonywania swych obowiązków — ironia brzmiała w jej głosie

— i odpowiem szczerze. To mój brat. Przyrodni

— dodała widząc zdumienie porucznika. — Matka wyszła drugi raz za mąż.

— Czy zna pani jego kolegów lub ludzi, z którymi się kontaktował?

— Z tego wynika, że mój braciszek coś przeszkrobał. Dziwię się, gdyż jest za leniwy, aby czeokolwiek dokonać.

Dańda przybrał urzędowy ton udając, że nie dostrzega jej ironii.

— Chciałbym się z nim koniecznie zobaczyć. I to tylko dla jego dobra, niech mi pani wierzy.

— No cóż... Zgodzi się pan ze mną, że nie mogę odpowiadać za postępowanie mego przyrodniego brata — powiedziała z naciskiem — a w jakiej melinie się zaszyl, naprawdę nie wiem.

— W melinie? — porucznik udał zdumionego.

— Coś pani wie o takich jego melinach?

— Och, nie — zaśmiała się szczerze — w slangu studenckim znaczy to jakiś zaciszny kącik. Miejsce, gdzie można bez obawy się zabawić.

— No to w jakim zacisznym kąciku przebywa teraz Bolesław Siwiec?

— Zdaję sobie sprawę, że metody milicyjne polegają na pytaniu o to samo nieraz po sto razy, w tym wypadku jednak nie jestem w stanie się załamać, czyli pęknąć i wypruć całą prawdę. Nie mogę, ponieważ absolutnie nic nie wiem.

— Nie interesuje się pani swym bratem?

— Rzadko się widzimy. To człowiek nie skłaniający do bliższego współżycia. Byłam dzisiaj u niego, gdyż jest mi winien pewną sumę pieniędzy i obiecał dzisiaj mi ją zwrócić. Oto cała i jedyna prawda.

— I nie dotrzymał słowa. Jaka to była suma?

— Czy ja nie mogę mieć swoich tajemnic? To moja osobista sprawa.

— W tym przypadku obawiam się, że nie.

Zgasiła papierosa w popielniczce i założyła wysoko nogę na nogę.

— Dwa tysiące. Pożyczyłam mu przed miesiącem.

— I przyrzekł, że odda dzisiaj, tak?

— Tak.

— Czyli że spodziewał się gotówki w ostatnich dniach?

— To mnie nie obchodzi. Powiedział, że odda i przyszłam odebrać dług.

— Czy pani wie, że jak wyszedł wczoraj o świcie z domu, to do tej pory nie wrócił?

— Do niego wszystko podobne.

— Przedtem również pożyczał od pani pieniądze?

— Nie.

— Z czego on żyje?

Wzruszyła ramionami.

— A bo ja wiem? Nigdy go o to nie pytałam. Nie ma za dużych wymagań od życia. Chudy jak palec i pewnie czasem głoduje. Zlitowałam się i dałam mu tę sumę.

— Mówił pani, na co potrzebuje pieniędzy?

— Jestem dyskretna. Gdyby chciał, sam by mi powiedział, co zamierza

zrobić z tymi pieniędzmi. Nie powiedział, a ja nie pytałam.

- Rodzice pani żyją?
- Tak.
- Ich stosunek do niego?
- Nie kontaktują się zupełnie. Uważają, że Bolek stoczył się na dno upadku. Mój ojciec nie chce mieć z nim nic do czynienia. Ja sędzę, że niesłusznie.
- Ale pani też miała z Bolesławem Siwcem bardzo luźny związek, prawda?
- On sam mnie unikał. Przyszedł, bo widocznie coś go mocno przycisnęło. Porucznik rozejrzał się po pokoju.
- Bardzo tu oryginalnie urządzone.
- A tak. Kocham te szmirowate rupiecie. Kupowałam to wszystko na tandecie. Nie podoba się panu?
- Owszem – bąknął Dańda – ale nie w moim stylu.
- Pan woli na wysoki połysk – zadrwiła. – Gdybyśmy wszyscy lubili to samo, byłoby nudno. Nie sądzi pan?
- Nie pasuje to, co prawda, do pani – wyznał porucznik – jeśli jednak pani czuje się dobrze wśród tych rzeczy, cóż można zarzucić?
- Niech pan spojrzy na tę lampę z abażurem, ohydna, prawda? A dla mnie piękna. Wzruszam się, kiedy patrzę na to brzydactwo. – Wyjęła papierosa z pudełka i porucznik znowu usłużnie podał jej ogień.
- Ja już sobie pójdę – rzekł wstając z krzesła
- niewykluczone, że jeszcze się zobaczymy. A gdyby Siwiec się pokazał u pani, proszę nas zawiadomić.
- Mam donieść o tym i to jest nakaz, czy też będzie to zależało od mojej dobrej woli? – odprowadziła porucznika do drzwi.
- Jeżeli mu pani dobrze życzy, poinformuje nas pani.
- Nie zdradził pan ani jednym słowem, o co tu chodzi...
- Może o drobnostkę, a może o grubszą sprawę. Teraz ja pani powiem: nie wiem.

Podali sobie ręce. Porucznik obrzucił ją jeszcze raz przychylnym spojrzeniem, a ona przez chwilę patrzyła za nim, gdy schodził na dół.

*

Tomaszek kręcił głową z powątpiewaniem.

– To, że Siwiec pożyczył dwa kawałki i obiecał w tych dniach je oddać, jeszcze nie świadczy, że brał udział w skoku na mieszkanie Złotowskiej. Złodziejaszki, w końcu nie fachowcy, zadowoliliby się klejnotami i dolarami z sekreta-rzyka. Nie kuliby ściany. Skąd by wiedzieli, że w ścianie jest coś zamurowane? A zresztą co my wiemy o tym Siwcu? To, że gdzieś przepadł, może być czystym przypadkiem.

– Mało wiemy i to mnie niepokoi – powiedział Dańda. – Przyznasz jednak, że ten dług zaciągnięty u siostry i termin zwrotu coś jednak sugerują. Ktoś mógł mu powiedzieć: tam w ścianie jest to i to, przyniesiesz – dostaniesz gotówkę.

– Przecież to była mokra robota. Tacy ludzie nie podejmują się czegoś podobnego.

– Mogło być zaplanowane inaczej, a stało się inaczej.

– Nie, nie! To morderstwo było zaplanowane. Kucie w ścianie, a później zatarcie śladów musiało trwać jakiś czas i trzeba było się pozbyć właścicielki mieszkania, aby to móc zrobić bezpiecznie, a bez pośpiechu. Złotowska nie wpuszczała nikogo obcego, czyli dostał się tam ktoś, kogo ona dobrze знаła i miała do niego pełne zaufanie. Co my wiemy o Złotowskiej? Jak dotąd – niewiele. Musimy zapoznać się z jej życiorysem, z jej bliskimi.

– Upłynęło dopiero kilkadziesiąt godzin od śmierci tego pierwszego faceta, a ty chcesz już wszystko mieć na biurku.

– Powiedz o tym Smułskiemu, nie mnie. On pili. I nie dziwię mu się. Trzy trupy. I najprawdopodobniej jedna sprawa.

– Przecież stary wie, jak jest.

– Chce wiedzieć więcej i szybciej.

– A my nie? Gdyby nam się udało odgadnąć motyw... Najbardziej mnie zastanawia fakt, że nie buszowano po mieszkaniu Złotowskiej. Klejnoty leżały prawic na wierzchu. Zatem w schowku w ścianie było coś bardziej cennego dla mordercy. I tu jest pies pogrzebany.

– Ale mleczarz, ale Piwiński?

– Może nie mają z tym nic wspólnego? Tego nie sposób wykluczyć.

– Twoja teza, że Piwiński padł ofiarą przypadku, wydaje się uzasadniona.

– A Możdzeń? Za tym wszystkim stoi ktoś, komu najbardziej zależało na pudelku ze schow'ka u Złotowskiej. Nie chce mi się wierzyć, aby to był Siwiec. Rozpracujemy teraz Złotowską. Musimy wiedzieć o niej wszystko. Jej krewni, jej znajomi, jej otoczenie, wszystko! Zeznania dozorczyńni to mało. Może ona też jeszcze coś ukrywa? Trzeba babę przyprzeć do muru.

– To później. Najpierw Złotowska.

– Zdobycz pracuje nad Siwcem.

– Powiemy staremu...?

– Poczekajmy. Warto mieć już coś w rękę, aby móc mu się pochwalić.

*

Sierżant Zdobycz po przepytaniu dziesiątków ludzi ustalił wreszcie, że Siwiec i Możdzeń spotykali się czasem w barze „Pod Jaskółką” przy ulicy Barskiej. Kierownik baru potwierdził, że ich zna. Wypijali zazwyczaj po dwa piwa, siadywali w kącie sali pod oknem i rozmawiali. O czym, nie umiał powiedzieć. Nie interesowały go nigdy sprawy klientów. Zachowywali się zawsze spokojnie, więc nie zwracał na nich większej uwagi. Wyglądali na solidnych pracowników, choć dziwne mu się wydawało, że znajdowali czas na przebywanie w barze w godzinach pracy. Siwca zna lepiej, gdyż przyjaźnił się dawniej z jego ojcem, magazynierem w firmie budowlanej. Stary Siwiec zachodził do jego knajpy, którą prowadził jeszcze jako właściciel własnego interesu gastronomicznego.

Jego syn przypomniał mu się, gdy zajął przed paru laty „Pod Jaskółkę”. Zdaniem kierownika syn wyglądał, jakby miał coś z płucami, jest przeraźliwie chudy i ma zniszczoną twarz, poraną zmarszczkami. Co robił i w jakim środowisku się obraca, nie wiedział. Tyle tylko, że jeśli się tu zjawiał, to zawsze w towarzystwie Możdżenia. Kierownik baru rozpoznał mleczarza na przedstawionej mu przez sierżanta fotografii. Od kilku dni nie widział ich w swym barze. Ostatni raz byli jakiś tydzień temu. Siedzieli nie dłużej niż godzinę.

— Ale mam jeszcze coś — dodał Zdobycz z dumą w głosie. — Chłopcy kopiący piłkę koło stadionu widzieli, jak niedaleko domu Siwca zatrzymał się samochód marki Mercedes z jakąś zachodnią rejestracją. Oni znają się na samochodach. Był to biały mercedes, najnowszej produkcji. Numeru niestety nie zapisali. Siedział w nim

starszy mężczyzna, a drugi wysiadł i poszedł do domu, gdzie mieszka Siwiec.

— Pokazaliście im zdjęcie Możdżenia? — spytał Tomaszek.

— Tak, ale nie byli zgodni, czy to był on, czy nie.

— Zapalniczka! — zawołał Dańda, ucieszony, jakby go ktoś wsadził na sto koni.

— Czy dozorca to potwierdził?

— Nie. Nie było go wtedy w domu. Ale odwiedziłem wszystkich lokatorów. Nie znają Możdżenia ani nikt z nich nie ma znajomych czy krewnych za granicą. Jestem dlatego przekonany, że ten ktoś, powiedzmy Możdżeń, był u Siwca. Zdaje się, że zrobiłem dobrą robotę, co?

Porucznicy przytaknęli.

— Gdyby jeszcze chłopaki dały nam numer rejestracyjny tego mercedesa...

— rzekł Tomaszek. — Ale nic. Spróbujemy dowiedzieć się na przejściach granicznych, jakie białe mercedesy przejechały granicę w ostatnich tygodniach. Może to nam coś wyjaśni?

— Kojarząc tę zapalniczkę z mercedesem mamy jakiś punkt zaczepienia — gorączkował się Dańda. — Może Złotowska miała krewnych na Zachodzie? Facet przyjechał, żeby coś od niej wyciągnąć, nie chciała mu nic dać i rąbnął staruszkę, zabierając zawartość jej schowka. Spieszyło mu się, zabrał to, o czym wiedział, gdzie jest ukryte, i nie przeszukał mieszkania.

— Ale dlaczego zabił w takim razie Możdżenia? A Siwiec?

— Musieli być w sprawę zamieszani. Siwiec dowiedział się, co spotkało Możdżenia i uciekł w obawie o swoje życie.

— Wszystko to się bardzo ładnie układa, ale może także nie mieć nic wspólnego z rzeczywistością.

— Poinformujmy o tych nowinach Smulskie-go. Ciekawe, co powie. Musi wydać dyspozycje, by na punktach granicznych przejrzeni uważnie listy turystów podróżujących mercedesami.

— Kapitana Smulskiego nie ma. Przed chwilą wyjechał gdzieś wozem — powiedział Zdobycz.

- W takim razie jadę do starych Mózdzeniów
- oznajmił Tomaszek. — Za mało nam powiedzieli o swim synu.
- W południe zadzwoniła do Dańdy Janina Barabasz.
- Telefonował do mnie Bolek. Przeprosił, że nie oddał długu. Ma kłopoty i przyrzekł, że zwróci mi pieniądze w ciągu tygodnia.
- Spytała go pani, gdzie teraz przebywa?
- Oczywiście. Powiedział, żebym się nie martwiła i że wszystko mi wyjaśni za tydzień.
- Czy wie, że go poszukujemy?
- Chyba nie. W każdym razie nie odniosłam takiego wrażenia. Ja mu nic o tym nie wspomniałam.
- Skąd dzwonił, tego też pani nie wie?
- Zagadnęłam go o to, ale odparł, że przez telefon nie może mi udzielić żadnych wyjaśnień. Potem odłożył słuchawkę. Ale chyba dzwonił z automatu, bo stale coś nam przerywało rozmowę. Pan wie, jakie są te nasze uliczne automaty.
- Czy macie jakichś krewnych za granicą?
- Nie. Przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo.
- Pani nie ma przecież telefonu w mieszkaniu. Dokąd on dzwonił do pani?
- Do pracy. Pracuję w biurze turystycznym „Wisła”
- W biurze turystycznym?
- Czemu pana to dziwi? Jestem tłumaczką. Może pan sprawdzić... — w głosie Barabasz znowu pojawiła się ironia.
- Wie pani, że z przyjemnością. Umówimy się na randkę, dobrze?
- W biurze pracuję.
- A więc w jakiejś pobliskiej kawiarence.
- Po godzinach pracy.
- Ależ z pani służbistka!
- Przecież mam do czynienia z oficerem milicji.
- Nie jesteśmy tacy straszni. Chyba się pani. przekonała. Czy ma pani mi coś do zarzucenia?
- Zaśmiała się, rozbawiona.
- Wręcz przeciwnie. Zrobił pan miłe wrażenie.
- Postaram się podtrzymać to mniemanie.
- Zgoda. Będę o szesnastej w „Malinowej”.
- Nie spóźnię się ani o sekundę. Dziękuję.
- Odłożył słuchawkę. Nie krył przed sobą, że ucieszył się telefonem od tej dziewczyny. Podszedł do otwartego okna i tak ustawił szybę, by móc zobaczyć w niej swoje odbicie. Przyglądał włosy i mrugnął wesoło sam do siebie.

*

Tymczasem porucznik Tomaszek odwiedził Mózdzeniów. Matka od razu zasypała go pytaniami, co będzie ze zwłokami syna, co ma zrobić, aby był

pochowany po chrześcijańsku? Płakała. Stary Możdzeń miał też łzy w oczach, choć starał

się pocieszyć żonę i perswadował jej, by się uspokoiła.

Porucznik również usiłował przyjaznym tonem uspokoić starą kobietę. Minęło jednak dobre pół godziny, zanim Mózdzieniowa zdolna była do akiej kol wiek rozmowy.

— Kto zabił syna państwa, tego jeszcze nie wiemy. Chcę właśnie, abyście nam w odszukaniu sprawy pomogli.

— I czego kto chciał od Janka? Przecież on był taki spokojny, taki zawsze uważający...

— Czy państwo nie macie przypadkiem krewnych gdzieś za granicą?

Stary Możdzeń zaprzeczył. Nikt z jego ani z rodziny żony nigdy nie emigrował, więc skąd by się wzięli krewni poza granicami kraju?

— Może syn miał tam jakiegoś kolegę, znajomego? Nie mówił wam, że ktoś przyjechał tu do niego?

— Nie słyszałem — odpowiedział stary Możdzeń.

— Janek był taki skryty... Niczym się nigdy nie pochwalił.

— Może coś choć napomknął? Zastanówcie się państwo. Spróbujcie sobie coś przypomnieć. Na przykład jakiś kolega z zagranicy... Tam żyje wielu Polaków, którzy mają rodziny w Polsce, przyjeżdżają tu do przyjaciół sprzed lat. A ten Siwiec? Może on miał jakichś przyjaciół poza krajem? No?... Kogoś, kto przyjechał samochodem w celach turystycznych?

— Zaraz... zaraz — Możdzeń przymknął oczy i podniósł dłonie do czoła — coś mi chodzi po głowie.

Tomaszek cierpliwie czekał, aż stary upora się z pamięcią. Mózdzieniowa wpatrywała się w męża z uwagą.

— Słuchaj, matka — odezwał się wreszcie Możdzeń — Janek wspomnił coś o jakimś aucie. Nie pamiętasz? Że go deszcz nie zmoczy, bo pojedzie samochodem.

— A tak... tak... coś wspomnił — przytaknęła Mózdzieniowa.

— Kiedy to było? — spytał Tomaszek.

— Będzie z tydzień wstecz.

— Jaki to był samochód, nie powiedział? Na przykład, że to mercedes.

Stary wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam. Chyba nie. Ja wiem, jak wygląda mercedes. Ale gdzieżby nasz Janek jeździł mercedesem? Kto by tam z nim jechał takim eleganckim autem?

— Państwo powiedzieliście mi, właściwie to pani tak twierdziła, że syna mógł zabić Bolesław Siwiec. Dalej pani tak uważa?

— Od razu, jak go tylko pierwszy raz ujrzałam, pomyślałam sobie, że to zły człowiek. Taki, co to może zabić bez powodu i nie będzie miał wyrzutów sumienia.

– Na jakiej podstawie to pani mówi? Czy tylko tak pani czuje, czy też ma pani jakieś powody, by dojść do takiego wniosku?

– To się czuje, proszę pana! Matka zawsze wyczuje coś złego, jak chodzi o dziecko.

– Dlaczegoż by Siwec miał zabić syna? Przecież, nie dla przyjemności. Musiałyby być jakieś ważne przyczyny. Syn nigdy nie powiedział wam, że się czegoś obawia, że ktoś ma pretensje do niego?

– Co to, to nie. Pan nie znał Janka. On by nas nie chciał smucić.

– Żona jest zrozpaczona i dlatego tak mówi na tego Siwca, bo on się zawsze jej nie podobał. Ale żeby tak twierdzić na sto procent, to nie powiem. Matka, tak nie wolno. Posądzac człowieka, bo ci nie przypadł do gustu.

Więcej już porucznik nic nie wyciągnął od Moźdzeniów. Był jednak zadowolony z przeprowadzonej rozmowy. Samochód, o którym młody Moźdzeń wspomniał rodzicom, mógł być owym mercedesem, jeśli to Moźdzeń był tym mężczyzną, który wysiadł z wozu pod domem Siwca. Ale trzeba mieć pewność, że właśnie Moźdzeń był pasażerem mercedesa.

*

Kapitan Smulski chodził tam i na powrót po swoim pokoju. Porucznicy siedzieli przy niewielkim stoliku, zarzuconym czasopismami.

– Chłopcy wreszcie dobrali się do mieszkania Złotowskiej – powiedział kapitan. – Na podłodze, na szczęście zakurzonej, wykryto ślady butów, które porównano z butami Moźdzenia. Nie ma więc żadnej wątpliwości, że Moźdzeń przebywał w mieszkaniu denatki. Ślady i butelka, którą została uderzona Złotowska, świadczą, że zabójstwa dokonał właśnie on. Po dokładnych badaniach ubrania Moźdzenia znaleziono pyłki ceglane na nogawkach spodni. Zatem on także kuł ścianę w celu wydobywania ze schowka owego pudełka. Tę sprawę mamy więc prawie jasną. A co wy mi powiecie?

Porucznicy spojrzeli po sobie. Pierwszy odezwał się Dańda.

– Wiemy, że Siwec przebywa w mieście. Telefonował do swej przyrodniej siostry. Oświadczył jej, że spotka się z nią za tydzień.

– I chcecie czekać cały tydzień? – kapitan zatrzymał się, spoglądając z politowaniem na swych podwładnych.

– No, nie – odparł niepewnie Tomaszek.

– Musicie go mieć o wiele wcześniej!

– Jasne – rzekł skwapliwie Dańda.

– Czekam na relacje z punktów granicznych. Powinniśmy je otrzymać jeszcze dzisiaj. Zobaczymy, co z tym samochodem... – Smulski zasiadł za swym biurkiem. – Ale jeśli motorem całej sprawy był ktoś, kto zdążył już opuścić kraj, rzecz się skomplikuje. Musimy mieć niezbite dowody, aby policja innego kraju wszczęła ze swej strony dochodzenie. A główny świadek nie żyje.

– Gdy odnajdziemy Siwca, damy sobie radę – powiedział Tomaszek.

– Coś mi z tym Siwcem nawalacie – kapitan miał niezadowoloną minę. –

Nie mogę przecież postawić wszystkich naszych ludzi na nogi, aby go odszukali. Tyle się gada o nim i nie! Trzeba się ostro wziąć do tego!

— Zdobycz chodzi jego śladami — wtrącił Tomaszek, a potem zwrócił się do Dańdy: — Czy ta jego siostra nie kryje go przypadkiem?

— Jestem przekonany, że nie.

— Nie należy wierzyć nikomu. Nieraz trzeba sprawdzić i dziesięć razy to, co mówią świadkowie, aż wyjdzie sztybel z worka — kapitan najwyraźniej nie miał najlepszego humoru. — To pewnie ładna kobieta, co?

Tomaszek spojrział z ukosa na Dańdę. Uśmiechnął się.

— Chyba tak.

Kapitan pokiwał głową i westchnął.

— W waszym wieku wierzy się bardziej kobietom. Ale wbijcie sobie do głowy, że dla milicjanta nie ma ładnych kobiet, oczywiście wśród tych, które łączy coś z dochodzeniem. Nie ma! — klepnął Dańdę po ramieniu. — Ładna jest?

Dańda, nieco zbity z tropu, przyznał półgłosem:

— Ładna.

— I sprawa załatwiona. Ładna nie może kłamać, nie może oszukać. Oj, chłopcy, chłopcy! A teraz żegnam was, bo mam kupę roboty.

Kiedy znaleźli się przy drzwiach, pogroził im palcem.

— A Siwca chcę mieć tu w krótkim czasie.

— Tak jest! — wyprężył się Tomaszek.

— Potrzebujecie jeszcze kilku ludzi, weźcie od Staroniaka. I nic mnie więcej nie obchodzi.

*

W „Malinowej” spotykały się przede wszystkim młode pary. Ciemny wystrój wnętrza, niewielka salka z kilkoma tylko stolikami, cicho grający magnetofon, liryczne piosenki sprzyjały nastrojowi zakochanych. Porucznik Dańda zjawił się trochę wcześniej i zajął stolik w kącie lokalu. Był tu po raz pierwszy i przyglądał się z zaciekawieniem bywalcom kawiarenki. Kelnerce w mini--spódniczce powiedział, że wstrzymuje się z zamówieniem, ponieważ czeka na drugą osobę.

Janina Barabasz przyszła kilka minut po szesnastej. Zamówili dwie małe kawy, przez chwilę wymieniali zdawkowe zdania o pogodzie i planach urlopowych. Dopiero kiedy kelnerka przyniosła parujące filiżanki, Barabasz przystąpiła do rzeczy.

— Więc dzwonił. Nic ponadto nie mogę panu powiedzieć. Spytałam go, co się z nim dzieje, ale nie dał mi na to odpowiedzi. Nie przypuszczam jednak, żeby miał coś poważnego na sumieniu.

— No, ale stwierdził, że przez telefon nie udzieli żadnych wyjaśnień, prawda?

Skinęła głową.

— Dlaczego? Czyżby się bał podsłuchu? Podsłuchu, naturalnie, u pani w biurze?

— U mnie? — parsknęła śmiechem. — A cóż ja mam z nim wspólnego? To, że jest moim bratem przyrodnim, nic nie znaczy.

— Tym bardziej wydaje mi się tajemnicze — Dańda nie chciał użyć słowa: podejrzane, by jej niczego nie sugerować i nie zastraszyć. — Dlaczego chce się spotkać z panią za tydzień?

— Chce mi oddać dług, już mówiłam... — wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i pochyliła się nad stolikiem, by skorzystać z ognia, który jej podał porucznik. — Nie utrzymujemy kontaktów ani rodzinnych, ani towarzyskich. — I dodała znacząco, ironicznie: — Obracamy się w zupełnie różnych środowiskach. Pan już zapewne o Bolku dużo wie i zorientował się, że mamy odmiennie-zainteresowania.

— Brat jest zawsze bratem. Można z bliskim w rodzinie człowiekiem nie stykać się, pogardzać nim — chciał jej przypiąć łątkę — ale gdy przyjdzie do bronienia honoru rodzinnego, odradzają się więzy solidarności krwi. To jest przecież zrozumiałe.

— Nie mam aż tak daleko posuniętych ambicji i poczucia honoru rodzinnego.

— Na przykład gdyby pani pozwoliła mu przez jakiś czas pomieszkać u siebie, nie byłoby to ani zastanawiające, ani karygodne. Ma kłopoty, niech mieszka.

— Był pan u mnie. Czy kogoś tam ukrywałam?

— Nie, ja o nic pani nie posądzam. Rozważam po prostu problem. A my chcemy tylko porozmawiać z bratem. Potrzebny jest nam.

Zaciągnęła się głęboko i zdusiła papierosa w popielniczce.

— Niech mi pan wreszcie powie, o co chodzi? Nie bawmy się w ciuciubabkę.

W oczach Janiny Dańda wyczytał zniecierpliwienie. Niechący dotknął kolanem jej uda. Zrobiło mu się gorąco. Chiał jej wierzyć, ale może Smulski miał słuszość, że urodzive dziewczyny mają większe szanse, by kłamać i zdobyć zaufanie? Podobała mu się i wszystko, co mówiła, wydawało mu się wiarygodne.

— Mamy kłopot z wyjaśnieniem pewnej sprawy, a ponieważ pani brat, o ile wiemy, przyjaźnił się z niejakim Janem Możdżeniem, chcieliśmy uzyskać od niego parę informacji. Nic więcej. Czy pani słyszała o kimś, kto nazywa się Możdzeń? Jan Możdzeń.

Przekrzywiła głowę i przymknęła powieki, jakby chciała wydobyć gdzieś z głębi pamięci to nazwisko. Porucznik pił powoli kawę, przyglądając się jej z uwagą. Wreszcie otworzyła oczy i powiedziała z przekonaniem.

— Słyszałam.

Dańda poruszył się na krześle.

— Od brata?

Zapaliła następnego papierosa i zanim odpowiedziała, zaciągnęła się kilkakrotnie.

— Od Bolka. Właśnie wtedy, gdy przyszedł po pożyczkę. Nie zwróciłam na to

uwagi, ale teraz sobie przypomniałam.

– W jakim kontekście padło to nazwisko?

– Boże, żebym ja to pamiętała... Pan pozwoli, że trochę pomyślę.

Zamilkł i wpatrywał się w nią, jakby starał się jej pomóc w osiągnięciu celu. Potarła dłonią czoło, aż wreszcie odetchnęła z ulgą.

– Mam. Jak się okazuje, wszystko, co się mówi, może być w pewnym momencie ważne. A wie pan, dlaczego zapamiętałam to nazwisko? Zupełny idiotyzm, ale często skojarzenia mają to do siebie, że są absurdalne... Otóż gdy usłyszałam od Bolka nazwisko „Możdzeń”, moją reakcją skojarzeniową był mózdzek. Przypomniałam sobie, że od dawna nie jadłam mózdzku cielecego. Naiwne, prawda, ale tak naprawdę było...

Porucznik uśmiechnął się lekko, czekał na coś ciekawszego. Ona jak gdyby specjalnie opóźniała wyjaśnienie, jakby bawiła się pozornym spokojem swego rozmówcy będąc przekonana, że nie może doczekać się on odpowiedzi na swoje pytanie. Obracała w palcach pozostawione przez Dańdę pudełko zapalek. Potem drgnęły jej kąciki ust w powstrzymany uśmiech i dopowiedziała:

– Bolek spytał mnie, czy nie kupiłabym tra-velczekow, a kiedy zdziwiłam się, skąd u niego takie rzeczy, wymienił nazwisko Możdzeń. To ten Możdzeń dał mu czeki, bo wiedział, że mam coś wspólnego z biurem turystycznym.

– A skąd Możdzeń miał czeki?

Rozłożyła rękę.

– Tego już nie wiem.

– I odkupiła je pani?

– Nie. Nie bawię się w takie historie, a po drugie nie mam tyle pieniędzy, żeby zainwestować je w taką transakcję.

– To byłaby większa suma? Ile? Dziesięć tysięcy, sto tysięcy?

– Tyle to nie, ale coś koło dwudziestu. Przy moich zarobkach? Skąd? I teraz już się domyśliłam, o co tu idzie. Braciszek wpadł na nielegalnym handelku.

– Jeszcze nie wpadł, bo go nie ma – odpowiedział. – Mogę pani jednak powiedzieć, że pani brat o nic nie jest oskarżony. Chcemy z nim tylko porozmawiać. Nie ma się czego bać.

– Brzmi to tak, jakbym mu miała to natychmiast powtórzyć. Owszem, zrobię to, gdy się z nim spotkam. Za tydzień? Myśli pan, że ja wierzę w spotkanie za tydzień? Właściwie spisałam te pieniądze na straty. Trudno. Klęska żywiołowa. Trzeba się zawsze liczyć z klęskami. Lepsze to, niż bym na przykład miała złamać nogę.

– Takich nóg nie wolno łamać – spróbował powiedzieć komplement.

– Szkoda by było... – wyciągnęła stopę, przyglądając się jej z przychylnym uśmiechem. – A pan ma jeszcze coś do mnie? – zagadnęła niby obojętnie, cały czas wpatrzona w swoją nogę.

– Nie mogę pani zareczyć, że to już nasze ostatnie spotkanie...

– Następne też będą urzędowe? – zwróciła oczy w jego stronę.

Porucznikowi zdawało się, że rumieńce wystąpiły mu na twarz i był wściekły na siebie. Cały

czas czuł się skrępowany, jakiś niezdarny, zanadto uprzejmy, a przez to może trochę śmieszny dla tej dziewczyny, przyzwyczajonej zapewne do prowadzenia zgoła innych rozmów. Mimo więc, że chętnie spędziłby w jej towarzystwie jeszcze parę godzin, postanowił się pożegnać.

– Pani wybaczy, lecz obowiązki mnie wzywają
– skinął na kelnerkę i zapłacił za kawę.
– Mam jeszcze wolną godzinę. Nie zostanie pan? Nie musimy przecież konwersować tak oficjalnie. Będziemy mówili na przykład o ... — rozejrzała się po sali — na przykład o zakochanych parach. Siedzi ich tu kilka. To przyjemny widok, prawda?

– Bardzo żałuję. Czekają na mnie. Służba nie drużba.
– Powie im pan, że trwało to tak długo, ponieważ miał pan trudności z wydobyciem ode mnie czegokolwiek.

Porucznik spojrział na zegarek. Właściwie mógłby jeszcze z pół godziny posiedzieć w kawiarni. Rzadko mu się zdarzało odwiedzać kawiarnie, a jeśli już wpadał na kawę, to z kolegami, a nie z piękną i młodą dziewczyną.

Dziewczyna odgadła, że Dańda ma ochotę pobyć z nią jeszcze jakiś czas. Zrobiła kokieterijną minę i zatrzepotała rzęsami na znak, że będzie jej przyjemnie, gdy wyrazi zgodę i że go do tego namawia.

Porucznik przypomniał sobie, co zwykł powtarzać Smulski, gdy im, młodym, przypadły sprawy, w których występowały kobiety. — „Nie dajmy się nabierać ładnym dziewczynom!” Czyżby i ona była taka? — pomyślał. — Czyżby chciała mnie przeciągnąć na swoją stronę? Bo sama nie jest w porządku? I to, co mówi, ma ją tylko chronić przed dalszymi następstwami? Nie był jednak przekonany, czy w tym wypadku Smulski miałby słuszność stosując swe ostrzeżenia.

*

– W ostatnim miesiącu przejechało nasze granice trzydzieści jeden mercedesów. Z tego dziewięć przez punkty graniczne bliskie naszego województwa. Z tych trzydziestu jeden mercedesów dwadzieścia osiem wyjechało z powrotem, a w tym siedem przez punkty bliskie naszego województwa — kapitan Smulski kończył czytać raport. — No i macie. Nasz właściciel mercedesa pewnie popija sobie już piwko w swoim kraju.

– Trzy mercedesy pozostały jeszcze w Polsce
– zauważył Tomaszek — przydałoby się je odszukać. ;
– Inteligentna uwaga — zakpił sobie Smulski.
– Myślicie, że ja tylko siedzę i czekam na wasze sensacje? Już szukają naszych turystów. Warszawa się tym interesuje i trzeba się im czymś pochwalić. A cóż wy macie mi do powiedzenia?

Tomaszek uśmiechnął się zadowolony. Wyciągnął notes i przerzucił kilka kartek.

— Szperałem w przeszłości Złotowskiej. Okazało się, że w czasie okupacji mieszkał u niej oficer gestapo. Miał kwaterekowy pokój. Mieszkał od marca 1942 roku do września 1944 roku. Został prawdopodobnie powołany na front wschodni. Nazywał się Kurt Breitner. Był w wieku około 35 lat. Dozorczyńi oświadczyła, że by go rozpoznała od razu, mimo że od tego czasu upłynęło już ponad trzydzieści lat. Miał widoczną szramę na lewym policzku i brodawkę koło ucha. Powiedziała też, że był bardzo uprzejmy i nikogo w tym domu nie aresztował.

— Oni wszyscy byli tacy. Gdy mieszkali u kogoś, zachowywali się jak najserdeczniejsi przyjaciele. Po prostu chcieli mieć w domu spokój i bezpieczne schronienie — machnął ręką kapitan.

— Złotowska jednak narzekała na niego, bo przecież była patriotką — ciągnął dalej Tomaszek, ale kapitan przerwał mu ruchem ręki. Przeglądając spis Niemców, którzy przebywali w ostatnim miesiącu w Polsce, spostrzegł nazwisko, które padło z ust porucznika.

— Kurt Breitner — odczytał na głos, wskazując je palcem na raporcie.

Porucznicy zerwali się z miejsc. Czyżby znalazł się sprawca zabójstw?

— Dobrze, że sobie przypomniałem o tym panu! — zawołał Tomaszek. — Dozorczyńi przy którymś przesłuchaniu napomknęła coś o Niemcu, który mieszkał u Złotowskiej. Skojarzyłem sobie z tym mercedesem i wydusiłem z niej wszystko.

— Ale że pamiętała jego nazwisko... Tyle lat i pamiętała? — spytał niedowierzająco kapitan.

— Nie pamiętała, miała książkę meldunkową z czasów okupacji.

— Czy Niemcy się meldowali i w dodatku jeszcze gestapowcy? — kapitana niełatwo było przekonać.

— Nie. Sama zapisała to nazwisko na ostatniej stronie. A poza tym kilka razy zanosila mu bieliznę do prania.

— Nieważne zresztą, skąd znała nazwisko.

Grunt, że to się nam teraz zgadza. No i panowie, bomba! — dodał Smulski. — Pan Breitner ze swoim mercedesem nie opuścił naszego kraju. To jeden z tych, którzy jeszcze tu gdzieś przebywają. Proszę, stoi tu jak byk — znowu wskazał na arkusz raportu.

Dańda zatarł ręce z radości.

— Schowek! Więc nie chodziło o pieniądze ani biżuterię. Tam było coś, co było potrzebne temu Niemcowi.

— Dokumenty! — odezwał się Tomaszek. — Akta gestapo. Kompromitujące akta.

— Czy ja wiem — wyraził wątpliwość kapitan Smulski — po tylu latach?

— Może jest to jakiś szanowany obecnie obywatel RFN, na wysokim stanowisku, który zadbał, żeby wszelkie ślady po nim sprzed lat zginęły na zawsze?

— Dziś miałby już siedemdziesiątkę — pokiwał głową kapitan — i tak by mu nikt nic nie zrobił.

— Bał się, żeby go dozorczyńni nie rozpoznała i dlatego posłużył się Możdżeniem — powiedział Tomaszek.

— I Siwcem — dopełnił uwagę Dańda.

— Dlatego muszę mieć tego Siwca i to jeszcze przed odnalezieniem Breitnera. Musimy mieć dowody, konkretne, nieodparte dowody! — kapitan uderzył dłonią w biurko. — Czy macie coś nowego o Piwińskim?

— Nie — stwierdził Tomaszek — myślę, że Siwiec i to wyjaśni.

— Nic nie „myślę”. Jedyne realia przekonują. Możecie sobie myśleć, co wam się podoba, ale ja potrzebuję logicznych, przekonujących faktów.

— Jestem nadal zdania, że Piwiński padł ofiarą przypadku — powiedział Tomaszek.

— To tylko domysł. — Z kapitanem Smulskim było niełatwo. Nie dawał się zbyć żadnymi przecuciami, iluzijnymi formułami dedukcji. Powtarzał raz po raz: — Sherlock Holmes ze swoimi dedukcjami dobry był w dziewiętnastym wieku. My dzisiaj pracujemy opierając się na nauce, aparaturze i wszelkich zdobyczach technicznych. Kojarzenie jest dobre, ale na podstawie danych naukowych! I jeszcze jedno — dorzucił ze złośliwym uśmiechem: — Z tym Breitnerem też nic nie jest pewne. Nie spoczywajcie na laurach. Coś wiemy, ale to wszystko może okazać się jednym wielkim nieporozumieniem. Tu, tu, na biurku mam mieć niezbite dowody. Inaczej nic z tego. Z obywatelami obcych państw należy postępować z

całą ostrożnością. Palniemy jakieś głupstwo i ośmieszmy się raz na zawsze.

— A zapalniczka? Znaleźliśmy zapalniczkę produkcji RFN. Tuż przy Możdżeniu. To już chyba nie jest dzieło przypadku — powiedział podniecony Tomaszek. — Nazwisko Breitner, gestapowiec o tym samym nazwisku mieszkający u Złotowskiej, zapalniczka przy Możdżeniu, mercedes, z którego wysiada Możdzeń, i Breitner jeżdżący mercedesem. To mało?

Kapitan Smulski pokręcił głową.

— To nie przekona jeszcze prokuratora. Gdzie są ogniwa, które związałyby te dane ze sobą w logiczny łańcuch następstw i przestępstw? Ja ich nie widzę. Chłopy, to naprawdę jeszcze nie powód do dumy.

— Znajdziemy Breitnera i Siwca. Nie mam żadnych wątpliwości, że oni maczali w tym palce

— powiedział zdecydowanie Tomaszek.

— Słuchajcie, panowie — zabrał głos kapitan

— mamy trzy ofiary. Mamy włamanie. Jeżeli główną sprężyną był Breitner, siedemdziesięcioletni człowiek, dlaczego pozostał u nas w kraju, a nie prysnął natychmiast po osiągnięciu celu? Czy który z was, gdyby popełnił tyle przestępstw, zdobył to, co zamierzał, w tym przypadku owo pudełko ze schowka, nie nawiałby jeszcze tego samego dnia? Pomyślcie sami. Przecież pozostając

tutaj, prędzej czy później sam oddaje się w nasze ręce. Jest to możliwe?

Trudno było nie przyznać słuszności argumentowi Smulskiego.

– Powinien uciec – zgodził się porucznik Dańda.

– A może nie mógł? – odezwał się Tomaszek.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Coś mu przeszkodziło albo chce jeszcze sprzątnąć Siwca, niebezpiecznego świadka, a ten mu się ukrył.

– Albo też – Dańda ciągnął myśl Tomaszka dalej – Siwec go sprzątnął.

– A co z samochodem?

– Gdzieś stoi. Warto by było zakręcić się koło tego. Może w którejś komendzie leży wiadomość

o porzuconym mercedesie?

– A jak go sprzedano, przemalowano, przerejestrowano i tak dalej? Mercedes nie jest znowu w Polsce taką rzadkością – powiedział kapitan.

– Wielu ludzi pozostawia samochody przez kilka dni na ulicy, nie wzbudzają one od razu zainteresowania. Widzicie, czeka nas jeszcze moc roboty. A naszym zwierzchnikom się śpieszy.

Trzy ludzkie życia to nie drobnostka, nie można przejść nad tym do porządku i bawić się w długotrwałe śledztwo. Każdy dzień oddala nas od uchwycenia sprawców. Na razie jednak – Siwec. Powtarzam: mam go mieć w piorunującym tempie.

Zawezwano sierżanta Zdobyczą. Jego poszukiwania nie odniosły jak dotąd żadnego skutku.

– Siwec zamelinował się gdzieś i siedzi nie wychylając nosa – zakonkludował Zdobycz. – Dotarłem do wszystkich miejsc, gdzie dotychczas pracował, ale nikt nic o nim bliższego nie wie. Każdy mówi: odludek, nieużyty, typ nie z tej ziemi, odpychający ludzi od siebie swoim zachowaniem. Żadnych szczegółów, żadnych uwag, które by się nam przydały.

– Podobnie mówią o Możdzeniu. Jakby się dobrali w korcu maku – dodał Tomaszek – ale ten wspólny rys charakterologiczny daje wiele do myślenia.

– Niby co? – kapitan znowu odniósł się sceptycznie do tezy porucznika.

– Że byli w przyjaźni, że ich coś wiązało, skoro Siwec zniknął i nie pokazuje się, a przecież przebywa w mieście. Prawda? – Tomaszek spojrzał na Dańdę, jakby szukając poparcia dla swoich domniemań.

– Tak twierdzi jego siostra – odpowiedział Dańda.

– Siostra jest siostrą i wolno jej kłamać – zachnął się kapitan – to nie dowód. A wszystko, co mi tu opowiadacie, już dawno wiemy. Co za nowe odkrycie! Chłopcy, bez filozofii, proszę.

Sierżant podniósł rękę jak uczeń w szkole.

– No, mówcie – kapitan usiadł ciężko za biurkiem.

– Ja bym tak powiedział: Siwec nie miał przyjaciół, Siwec nie ma się gdzie podziać, Siwec siedzi w domu – Zdobycz powiódł wzrokiem po zebranych w

pokoju, czekając na ich reakcję.

Kapitan spojrział pytająco na poruczników.

— Co wy na to?

Tomaszek wzruszył ramionami.

— Wszystko możliwe.

Dańda uniósł się z krzesła.

— Przecież dzwonił do siostry. W domu nie ma telefonu, więc dzwonił z innego miejsca i gdyby wychodził, ktoś musiałby go zauważyć. Czy wy, sierzancie, wiecie coś o tym? Nie. Właśnie. A na pewno mówiliście na ten temat z dozorcą.

Kapitan zniecierpliwiał się i rzekł oschłym tonem.

— Zawsze ten dozorca. Jakby od nich zależał świat. Alfa i omega informacji.

Dańda nie dawał się jednak zbić z tropu.

— Siostra Siwca zwierzyła mi się, że brat chciał jej sprzedać czeki i wtedy padło nazwisko Możdżenia. Dlaczego chciała się ze mną widzieć? Bo ją prosiłem, żeby mnie zawiadomiła, jak tylko nawiąże kontakt z bratem. I zrobiła to. Telefonował do niej. Zatem musiał wyjść z domu.

— Może dzwonił w nocy? Wykradł się ostrożnie z mieszkania i zadzwonił?

— Ona nie ma telefonu. Dzwonił do biura, czyli w dzień, do godziny szesnastej.

— Nic tu nie wydumamy — orzekł kapitan.

— A ja bym poszedł do jego mieszkania — wtrącił Zdobycz. — To mnie muli już od wczoraj, obywatelu kapitanie.

— To na co czekacie? Idźcie do niego! Nie wiecie, co macie robić? Mam was pouczyć? A z tą siostrą — zwrócił się do Dańdy — niejasna sprawa. Żeby siostra nadawała na brata, coś mi tu nie pachnie!

— To jej brat przyrodni — Dańda starał się bronić Janiny Barabasz.

— Wszystko jedno. Potraktowaliście ją zbyt pobłaźliwie, mój dobry poruczniku.

Tomaszek spuścił wzrok, nie chcąc widzieć rumieńców, jakie wystąpiły na twarzy przyjaciela. Wydawało mu się również, że Dańda zbyt serio potraktował wszystko, co naopowiadała mu ta dziewczyna. A jak się okaże, że to właśnie ona ukrywa brata? Jeśli do jutra nie natrafią na ślad Siwca, trzeba będzie jednak dobrać się do niej, mimo że pozornie to, co przekazała Dańdzie, brzmi wiarygodnie.

*

Tomaszek w towarzystwie Zdobyczą i ślusarza Sroczyńskiego stanął przed drzwiami mieszkania Siwca. Najpierw kilkakrotnie mocno zapukali. Nie było odpowiedzi.

Porucznik zwrócił się do Zdobyczą.

— Wygląda na to, że nikogo tam nie ma. Zejdźcie i poproście sąsiadów albo dozorcę tu na górę. Będziemy wchodzić.

Sroczyński otworzył niewielką walizeczkę i zaczął dobierać klucze do zamka.

Po chwili wrócił sierżant, a za nim dozorca i sąsiad z trzeciego piętra.

— Panowie — oświadczył porucznik — jesteśmy zmuszeni otworzyć drzwi od tego mieszkania. Będziecie świadkami.

— A co się stało? — spytał sąsiad, otyły mężczyzna, astmatycznie oddychając.

— Idzie o Siwca — wyjaśnił dozorca — już byłem o niego przepytywany — w jego głosie zabrzmiała nutka dumy.

— Jak tam jest trap, to ja nie wchodzę — otyły sąsiad cofnął się przestraszony. — Ja nie znoszę takich widoków.

— Dlaczego od razu trup... — rzekł Tomaszek, ile też poczuł nagle niepok: Jeśli znajdą czwartą ofiarę, sprawa jeszcze bardziej się zagmatwa.

Wprawdzie pozostał ten Niemiec, lecz skoro jest winien i był motorem tych wszystkich morderstw, czemu nie uciekł? Może i on nie żyje? Nie ma końca serii ofiar?

Ślusarz gładko uporał się z zamkiem. Pierwszy wkrczył do mieszkania porucznik. Za nim Zdo-bycz. Potem wsunęli się ostrożnie dozorca i sąsiad, trwożliwie wokoło się rozglądający. W izbie panował półmrok i zaduch. Widocznie nikt od kilku dni nie uchylał okna. Zdobycz zapalił światło, które rozbłysło z żarówki zwisającej na z rucie z sufitu. Pod ścianą, na niechlujnym wyrku leżał mężczyzna z głową osłoniętą rękami.

Sąsiad dostrzegłszy go jęknął i odwrócił się od wyrka plecami. Porucznik z ciężkim sercem podszedł do leżącego, gdy nagle ten odrzucił ręce i krzyknął przeraźliwie:

— Czego chcecie?!

Tomaszek odetchnął z ulgą. Czul, że spadł mu kamień z serca.

— Wy jesteście Bolesław Siwiec?

Nie było odpowiedzi. Mężczyzna leżał wyprostowany, ze szklanym wzrokiem i tylko poruszał ustami, jakby po tym niespodziewanym wybuchu stracił wszelkie siły.

— To on! — odezwał się dozorca. — Siwiec.

Porucznik spojrzął na sąsiada, który po okrzyku Siwca odzyskał rezon.

— Tak, to pan Siwiec.

— Coś panu jest? — porucznik nachylił się nad leżącym. Znowu nie doczekał się odpowiedzi. Wprawdzie wyglądało, jakby leżący chciał coś powiedzieć, ale z ust jego nie wydobył się nawet najcichszy szept.

— Wezwać pogotowie? — spytał Zdobycz.

— Poczekajcie, przyjdzie do siebie. — Porucznik ujął w przegubie dłoni Siwca. — No, uspokójcie się, uspokójcie — Tomaszek starał się mówić przyjacielsko, serdecznie. Oczy Siwca ożywiły się i spoczęły na poruczniku, jakby szukały w jego osobie ratunku. Tomaszek usmiechnął się. — Wszystko będzie w porządku. — Potem zwrócił się do sierżanta.

– Pomóżmy mu wstać. To chyba tylko szok. I już minął.

Sierżant Zdobycz nie umiał ukryć swego zadowolenia: jego przypuszczenia okazały się trafne! Oczekiwał słów uznania, lecz porucznik był teraz zajęty osobą Siwca i jak na razie nie kwapił się z pochwałami. Wspólnymi siłami postawili Siwca na nogi.

Nie wyglądało to na objawy padaczki ani na coś poważnego. Więcej prawdopodobnie było w tym histerii i dlatego Tomaszek zdecydował się zabrać Siwca ze sobą na komendę. Podziękował dozorczy i sąsiadowi za asystę i zostawił Zdobyczą w mieszkaniu, by przynajmniej pobieżnie przejrzał, co w nim się znajdowało.

Siwiec nadal zdradzał objawy lekkiego zamroczenia, lecz bez trudu pozwolił się wyprowadzić z mieszkania.

*

Tymczasem porucznik Dańda przeprowadził rozmowy z lokatorami domu przy ulicy Różanej. Tylko Kowalska mieszkała tam przed wojną, jeszcze jako panna, wraz ze swymi, zmarłymi już obecnie rodzicami. Miała wtedy kilkanaście lat i przypominała sobie wysokiego, przystojnego oficera z trupa czaszką na czapce. Często, gdy przechodziła obok niego na schodach, uśmiechał się do niej i nieraz wtedy myślała, że też taki miły człowiek może mordować ludzi... Opowiadano bowiem o nim w kamienicy, co zresztą potwierdziła także dozorczy, że brał czynny udział w likwidacji getta. Na małej Kowalskiej sprawiał bardzo przyjemne wrażenie. Jak się nazywał, nie pamiętała, ale pamięta, że miał dużą bliznę na policzku.

– Byłam smarkata – powiedziała – mimo że rodzice mówili o nim-w domu jak najgorzej, imponowało mi, gdy po jakimś czasie ten Niemiec salutował mi przy spotkaniu na klatce schodowej.

– Jak go traktowała Złotowska?

– Mało ją znaliśmy. Ona podobno po śmierci swego męża bardzo zdziwaczała. Tak mówili rodzice. Bo ja tam nie zwracałam wtedy na nią uwagi. Inne rzeczy były mi w głowie...

– A po wojnie? Czy ten Niemiec nie odwiedził kiedy Złotowskiej?

– Ja go nie widziałam. Chyba bym go poznała.

– A co się z nim stało? Dlaczego opuścił mieszkanie Złotowskiej już na wiosnę 44 roku?

– Dozorczy rozpowiadała, że wzięto go na front wschodni. Skąd ona miała te wiadomości, nie wiem.

Dańda jeszcze raz złożył wizytę dozorczy, która przyjęła go już jak dobrego znajomego i chciała poczęstować kawą.

– Pani dobrze pamięta, kiedy ten Niemiec od Złotowskiej stąd wyjechał?

– No, przecieżem zapisała w karcie meldunkowej.

– I pamięta pani, w jaki sposób opuścił mieszkanie Złotowskiej?

– Tak, bo wtedy Złotowskiej nie było. To chyba był marzec i gdzieś

wyjechała. On zeszedł, oddał mi klucze i kazał podziękować Złotowskiej,

i pożegnać ją.

— Mówił po polsku?

— Pewnie, że mówił. Inaczej jak by ze mną rozmawiał? — zaśmiała się. — Przecie ja ani dudu. Chciał mi dać jakieś pieniądze, ale nie wzięłam. Od Niemców to ja bym za nic niczego nie wzięła.

— Czy przed wyjazdem nikt do niego nie przychodził? Jacyś robotnicy? Może murarze?

Zastanowiła się i powiedziała bez przekonania.

— Tyle już lat minęło... Nie powiem „tak”, nie powiem „nie”.

— A czy to nie był jakiś krewny Złotowskiej? Bo wie pani, niektóre rodziny polskie miały krewnych w Niemczech. Złotowska z domu nazywała się Weiss. Nigdy o tym nie wspominała?

— Panie — obruszyła się dozorczyńni — można

o Złotowskiej różnie, ale to była Polka! Powiedziała mi kiedyś, że chce się jej rzygać, jak widzi tego Niemca.

— Czy on brał udział w akcjach w getcie? Wie pani coś o tym?

— Tak opowiadano. Nie wyglądał na takiego, co by zabijał. Tylko że po Niemcu nie było tego znać...

— Powiedziała mi pani, że by go poznała, gdyby się zjawił. Nawet po tylu latach. Czy nie odwiedził kiedy przypadkiem Złotowskiej, już po wojnie?

— Gdzie bym nie wiedziała o tym! Złotowska by go wyrzuciła na pysk!

— A nie kręcił się koło domu?

— Przecie bym widziała. On zginął pewnikiem na froncie. Ruski mieli na pieńku z takimi.

— A nie przyjaźnił się z kimś w domu? Może z kimś, kto się już stąd wyprowadził?

— Wszyscy się go bali. Jak se przypomnę tę trupią czaszkę — dotknęła palcem czubka głowy

— to mnie aż trzepie.

— Czy chodził także w cywilu?

— Czasem chodził. Ale zaraz było widać, że to oficer. Tak się nosił po wojskowemu, chodził taki wyszpanowany. A pan nie chodzi w mundurze?

— Chodzę — uśmiechnął się porucznik.

— Bo po panu też widać, że w mundurze byłoby panu lepiej. Taki pan wysoki, no, kawał chłopca, jak się to mówi. Mundur, panie, dla chłopca rzecz pierwszorzędna. Od razu poznać, jaki kto jest — zaczęła traktować porucznika, jakby już byli dawnymi, dobrymi znajomymi.

— Po cywilnemu swobodniej — odparł Dańda.

— Pożegnaj już panią.

— A co z nią? — wskazała głową na górę. — Wiecie już co?

— Jakoś idzie.

— Bo ludzie się pytają i pytają... ale ja ani mru-mru — przyłożyła palec do ust. — Niech sobie gadają, co chcą.

*

Lekarz stwierdził, że Siwiec przeżył wstrząs psychiczny pod wpływem jakiegoś wydarzenia. Dał mu odpowiednie zastrzyki i zezwolił na przesłuchanie. Prosił jednak, aby być ostrożnym i zbytnio go nie przemęczać.

Siwiec zresztą już przyszedł do siebie i nie sprawiał wrażenia chorego. Trzymał tylko głowę nisko opuszczoną i ręce położył nieruchomo na kolanach, gdy kazano mu usiąść przy biurku kapitana. Zdobył nie odkrył w jego mieszkaniu niczego, co by świadczyło o tym, że Siwiec miał coś wspólnego z popełnionymi morderstwami.

Po zapoznaniu się z personaliami Siwca kapitan spytał go, czy może w dalszym ciągu odpowiadać. Siedzący naprzeciw mężczyzna skinął głową potakująco. Cały czas posługiwał się monosylabami, nie mógł więc być wyczerpany początkową fazą przesłuchania, ale kapitan Smulski nie lubił popadać w konflikty z zaleceniami lekarza.

— Czy pan zna Jana Możdżenia, zamieszkałego przy ulicy Okopowej 12?

— Znam — odpowiedział Siwiec nie podnosząc głowy.

— Od jak dawna?

— Od dawna.

— Pięć, dziesięć lat, od czasów młodości?

— Pięć.

— Co was z nim łączy?

Siwiec wzruszył ramionami.

— Przyjaźnicie się, czy to jest taka zwykła znajomość, bez jakichś bliższych stosunków?

— Kolega.

— Co on robił ostatnio?

— Rozwoził mleko.

— Kiedy go widzieliście ostatni raz?

Siwiec chwilę pomilczał, potem rzeki cicho.

— Trzy dni temu.

— Gdzieście się widzieli?

— Był u mnie.

— Rano, po południu, wieczorem?

— W południe.

— Chciał czegoś od was?

Tym razem Siwiec milczał dłużej. Porucznik Tomaszek już zamierzał coś wtrącić, lecz kapitan dał mu znak ręką, by nie pytał o nic.

— Przyniósł coś, żebym mu pomógł sprzedać.

— Co to było?

— Jakieś zagraniczne papiery.

- I coście z tym zrobili? Wzięliście te papiery od Możdżenia i co było dalej?
- Nie sprzedałem.
- Komuście próbowali je odsprzedać?
- Siostrze.

Porucznik Dańda uśmiechnął się zadowolony, że oświadczenie Siwca zgadza się z zeznaniem Janiny Barabasz.

- Kiedy ostatni raz widzieliście siostrę?
- Chyba z miesiąc temu.
- A wczoraj dzwoniście do niej?

Siwec podniósł głowę i spojrzał“ zdziwiony na kapitana.

- Nie.
- Jak to nie? — Dańda podskoczył na krześle, zdenerwowany.
- Nie wychodziłem z domu.

Teraz kapitan rzucił kpiące spojrzenie na Dań-dę. Wzrok jego wyraźnie mówił: widzisz, jakie są dziewczyny... ładne dziewczyny. Dańda chciał jeszcze coś dorzucić, lecz Smulski go powstrzymał.

- Wróćmy do Możdżenia. Przyjaźniliście się, co?

Siwec skinął głową twierdząco.

- Mówiliście sobie wszystko... tak jak to zwierzają się przyjaciele?
- Bo ja wiem... nikomu nieśpieszno do zwierzeń.
- Ale ostatnio. Dał wam papiery do sprzedaży. To jest dowód zaufania. Skąd miał te papiery? Dostał je od kogoś czy też ktoś mu je dał do wymiany na polskie złote?

- Powiedział, że mu ktoś dał.
- Kto?

Siwec przymknął oczy i jakiś czas milczał. Kapitan czekał dłuższą chwilę, nie ponaglając go do odpowiedzi.

- Powiedział, że jakiś gość zagraniczny zaczepił go, jak rozwoził mleko i prosił, żeby mu wymienił.
- Czy nie mówił, na jakiej ulicy go zaczepił?
- Na Różanej.
- No, odpocznijcie parę minut. Sierżancie, weźcie go do sąsiedniego pokoju.

Zdobycz zaopiekował się Siwcem i przeprowadził go do pomieszczenia obok.

- Chłopcy — zatarł ręce kapitan — coraz cieplej! Jeszcze trochę i będziemy w domu. Po raz pierwszy jestem optymistą. Oby tylko główny ptaszek nam się nie ulotnił. Wszystkie przejścia graniczne są powiadomione i pan o takim nazwisku na razie nie opuści naszego kraju. Ale jeśli ma fałszywy paszport... — kapitan spojrzał na Tomaszka — będzie trudniej. Mercedesa szukamy i znajdziemy go, choćby był przemalowany.

— W tej skrytce musiało być coś ważnego — wtrącił Tomaszek — skoro facet zdecydował się na taki skok. Po tylu latach, w tym wieku? I nie bał się, że

zostanie rozpoznany?

— Dlatego to zrobił cudzymi rękami. Pieniądze za te czeki były pewnie przeznaczone dla najemnego mordercy. W tym wypadku dla Możdżenia.

Dańda, który siedział nieco przygnębiony kłamstwem Janiny Barabasz, odezwał się cicho:

— Moim zdaniem Możdżeń nie podjąłby się takiego zadania, gdyby wiedział, co za tym się kryje.

Kapitan zaśmiał się z politowaniem.

— Przecież rąbnął starą Złotowską butelką w głowę! Chciał jej tym zrobić przyjemność?

Dańda nie dał się jednak zbić z tropu.

— Cyjanek. Breitner dał mu cyjanek, mówiąc, że to środek usypiający. I Możdżeń zgodził się na to, będąc przekonany, że staruszka zaśnie, a wtedy on bez kłopotu odkuje ścianę i wyniesie Niemcowi kasetkę...

— A tymczasem — wpadł mu w zdanie Tomaszek — Piwiński schodząc od Wieczorków zobaczył flaszkę, wziął ją sobie i na skwerku wypił mleko, by wyleczyć kaca. Rzecz się nie udała, Możdżeń widząc, że mleko zostało zabrane, zadzwonił do Złotowskiej, tak na wszelki wypadek, staruszka mu otworzyła, wtedy w przypiływie strachu...

Kapitan przerwał mu zniecierpliwiony.

— Przecież leżała w pokoju, a nie przy drzwiach.

— Mógł ją wciągnąć do wnętrza mieszkania. Zdzielił ją przy drzwiach, a potem powłókł do trzeciego pokoju. Zbadamy jeszcze raz ślady i zobaczymy.

— Ślady? Wziął ją na ręce i przeniósł — wtrącił Dańda.

— Tak, to wygląda prawdopodobnie — zgodził się w końcu kapitan. — Bo rzeczywiście Piwiński tu nam nie pasuje. Mógł istotnie paść ofiarą przypadku. No, ale pogadajmy jeszcze z Siwcem czy też z Siwiecem. Sierzancie! — krzyknął uchylając drzwi do drugiego pokoju. — Chodźcie tu ze świadkiem.

Siwiec znowu usiadł na krześle przed biurkiem Smulskiego.

— Mówicie, że zagraniczny gość zaczepił Możdżenia na Różanej. Kiedy to było?

— Z miesiąc temu.

— Co stało się z tymi papierami?

— Możdżeń twierdził, że je oddał.

— Co wam jeszcze mówił Możdżeń?

— Że ten gość wyjechał, ale że miał wrócić.

— I wrócił?

— Wrócił. Jakies cztery, może pięć dni temu Możdżeń powiedział, że gość wrócił.

— I czego chciał tym razem od Możdżenia?

— Nie wiem.

— Oj, pewnie wiecie, tylko boicie się powiedzieć. Słuchajcie, to ciężka

sprawa. Ukrywając cokolwiek, możecie się głęboko wkopać. Nie radzę.

— Kiedy nie powiedział — Siwiec był spokojny i zrezygnowany.

— To czemu zamknęliście się w domu i od kilku dni nie wychylaliście nosa?

— Czekałem na Możdzenia. Miał mi oddać pieniądze i jeszcze coś dołożyć.

— Jakie pieniądze?

— Dałem mu dwa tysiące. Pożyczyłem je od Janki. Nigdy nie pożyczałem od nikogo, ale Możdzeń potrzebował, więc się zgodziłem iść do Janki.

— Na co mu były potrzebne te pieniądze?

— Chciał kupić jakieś rzeczy. Narzędzia czy coś tam.

— Obiecał wam, że odda pieniądze, jak przyjedzie gość z zagranicy. Że odda wam z naddatkiem.

Siwiec przytaknął.

— I czekaliście na niego, co? Dzień i noc. Dlaczego nie poszliście do niego do domu?

— Jego matka mnie nie lubi. Możdzeń powiedział, że bym tam nie zachodził.

— Trzeba było iść do mleczarni. Nie przyszło wam to do głowy?

— Co będę chodził... Jakby miał, toby mi oddał. Mówił, że bym czekał. —

Nagle zachłysnął się gwałtownym kaszlem, aż cały poczerwieniał i łzy pojawiły mu się w oczach.

— Co wam jest?

— Gruźlica — odpowiedział złapawszy powietrze po ataku kaszlu.

— I nie leczycie się, co?

Siwiec machnął ręką.

— Przysyłają wezwania z poradni. Warto to? I tak koniec, i tak koniec.

— Słuchajcie, Siwiec — pokiwał głową kapitan — wiecie, co jest z Możdzeniem?

— Nie pokazał się, to nie wiem.

— Nie żyje.

Siwiec otworzył szeroko oczy i rozwarł usta. Był prawdziwie zaskoczony. Potem przerzucił wzrok na Tomaszka i Dańdę, szukając potwierdzenia tego, co usłyszał.

— Dlatego każda wasza informacja jest ważna. Byliście jego bliskim znajomym — ciągnął dalej kapitan, nie zważając pozornie na reakcję Siwca

— i możecie przyczynić się do wykrycia zabójcy. Powtarzam, każde wasze spostrzeżenie może w tym pomóc.

Siwiec powoli schylił głowę i powrócił do pozycji, jaką przyjął na początku przesłuchania. Popadł jakby w nieme odrętwienie.

Kapitan podszedł do niego i dotknął jego ramienia.

— Jesteście świadkiem, ważnym świadkiem. Co wiecie więcej o tym nieznanym z zagranicy?

— Wykiwał go, wykiwał... — zaczął mrużyć Siwiec z głową niemal między kolanami. — Możdzeń mówił, że będzie miał pieniądze, dużo pieniędzy.

— Za co miał dostać dużo pieniędzy? — kapitan nachylił się nad Siwcem, by lepiej słyszeć.

— Nie wiem... nie wiem... za jakieś pudełko od starej kobiety...

Smulski spojrział na poruczników. Obydwaj uśmiechnęli się z wyrazem ulgi na twarzach.

— Co wam jeszcze powiedział? — kapitan

wykorzystywał chwilę słabości Siwca. Bał się, że później świadek zamknie się w sobie i nie puści pary z ust. — Czy trzy dni temu widzieliście się w rannych godzinach?

Siwec pokiwał głową.

— O której?

— O ósmej.

— Gdzie?

— Pod trybunami na boisku.

— I co wam wtedy powiedział?

Siwec był wyraźnie zmęczony. Zmętniałymi oczami zaczął się wpatrywać w Smulskiego. Widać było, że opuszczają go siły, ale kapitan nie mógł teraz przerwać przesłuchania.

— Co wam powiedział... przypomnijcie sobie!

— Powiedział, że nie stało się tak, jak miało być... i żebym czekał na pieniądze... żebym czekał, aż przyjdzie...

— Nic więcej?

— Nic.

Już zupełnie osłabł i Smulski polecił Zdobyczo-wi wyprowadzić go i powierzyć opiece lekarza.

— Wszystko się zgadza! — Tomaszek był w pełni zadowolony. Jego domysły przybierały obecnie realne kształty.

— Jeszcze tylko Breitner — oświadczył kapitan. — Jeśli przebywa nadal w naszym kraju, będziemy mogli mówić o szczęściu. Przyznacie teraz, że miałem słuszność, gdy żądałem jak najszybszej konfrontacji z Siwcem?

Obydwaj porucznicy zgodzili się z tym bez słowa.

*

Następnego dnia komenda dostarczyła sensacyjnej informacji. W szpitalu w Brzegu leży obywatel RFN, Kurt Breitner, lat 71, ciężko ranny w wypadku samochodowym na drodze do Wrocławia. Wrak wozu został zabezpieczony i znajduje się w garażach MO w Brzegu.

Kapitan Smulski połączył się natychmiast ze szpitalem. Okazało się, że Breitner ma złamanie podstawy czaszki, ciężki wstrząs mózgu i od chwili wypadku nie odzyskał przytomności.

— Mimo to trzeba tam jechać — stwierdził Smulski — zabierzecie się ze mną. Może poczuje się lepiej?

— Będzie się tłumaczył, że stracił pamięć — powiedział Tomaszek.

- Pogadamy wpierw z lekarzami. W każdym razie mamy ptaszka.
- No i obejrzymy sobie mercedesika — dodał Dańda. — Umieram z ciekawości, co było w tym pudełku.
- Przygotujcie się do drogi A ja porozumiem się z pułkownikiem.

*

Jeszcze tego samego dnia, kiedy przybyli do Brzegu, dokonali oględzin rozbitego samochodu. Niestety, nie znaleźli żadnego pudełka czy kasetki. Samochód nadawał się tylko na złom. Breitnerowi przy dużej szybkości nawaliła dętka w przednim prawym kole i wóz wpadł do rowu przydrożnego, potem uderzył o drzewo, odbił się i wpadając na ziemniaczysko kilka razy skapotał.

Nieprzytomnego Breitnera w pół godziny po wypadku karetka pogotowia odwiozła do szpitala.

- Kasetki nie ma — oświadczył kapitan Smulski — lecz mógł się jej pozbyć. Nasze pobieżne oględziny nie wykluczają, że to, co zawierała, znajduje się w samochodzie. Muszą zabrać się do tego fachowcy.

Major Brzeski z komendy w Brzegu obiecał przysłać ekipę, która dokładnie zbada wrak.

- Szkoda takiego wozu — westchnął porucznik Dańda.
- Martw się, żeby Breitner przeżył, a nie o wóz — mruknął porucznik Tomaszek.

Zarówno ordynator szpitala, jak i przyjmujący ofiarę wypadku dyżurny lekarz nie umieli powiedzieć niczego pewnego o tym, czy i kiedy stan rannego się polepszy. Ordynator był większym optymistą; sądził, że Breitner przetrwa kryzys i wyjdzie z tego cało, lecz nie rokował nadziei na szybki jego powrót do zdrowia, co umożliwiłoby przesłuchania. Trzeba było zatem czekać.

- Wprawdzie cierpliwości nam nie brak — uśmiechnął się kwaśno kapitan — ale z chęcią zgodzilibyśmy się na jakiś cud, byleby wyzdrowiał jak najszybciej.
- Oczywiście myśli pan o cudzie medycyny — zaśmiał się lekarz.
- Obojętne — odpowiedział kapitan — byleby nastąpił szybko.

Wprowadzeni na chwilę do separatki, gdzie leżał Breitner, stanęli nad jego łóżkiem. Tomaszek wskazał na widoczną szramę na lewym policzku rannego i brodawkę koło lewego ucha.

- Zgadza się. I wiek też się zgadza. Chyba nie ma już wątpliwości.
- Musi osobiście potwierdzić swoją tożsamość. Konieczna jest pełna gwarancja, że to on.

Po kilku dniach oczekiwania Breitner odzyskał przytomność, ale lekarze nie pozwolili jeszcze przeprowadzać z nim rozmów. Tymczasem po dokładnym rozebraniu samochodu znaleziono w skrytce sprytnie umieszczonej pomiędzy bakiem a podłogą nadwozia kilkadziesiąt brylantów, kilka kolistych szmaragdów i kilkanaście sznurów pereł, zawiniętych w jedwabny szalik. Zdaniem ekspertów przedstawiało to wartość kilkuset tysięcy dolarów.

— Oto i skarb, po który przyjechał pan Breitner — zawyrokował kapitan Smulski.

— Podczas swojego pierwszego pobytu zorientował się, kto zajmuje mieszkanie, które opuścił przed wyjazdem na front wschodni, znalazł sobie pomocnika, bo sam obawiał się rozpoznania, a chciał odebrać to, co zrabował w getcie. Po trzydziestu kilku latach był przekonany, że wszystko pójdzie mu jak po maśle — powiedział Tomaszek

— Brakuje nam tylko ostatniego ogniwa: zeznania podejrzanego — stwierdził kapitan Smulski. — A co dozorczyni?

— Bez wahania rozpoznała w Breitnerze oficera gestapo, który mieszkał u Złotowskiej. Byłem przy tym i widziałem. Nie wiem, czy Breitner też ją poznał, ale na jej widok momentalnie przymknął oczy. Odbył się to wszystko bez słowa, tak jak zalecili lekarze — wyjaśnił Tomaszek.

— No to teraz tylko trzeba czekać. A co lekarze mówią? Nie zachodzi obawa, że może stracić pamięć? — spytał Smulski.

— Raczej nie. Wstępne objawy nie wskazują na zanik pamięci. Ma na przykład całkowitą świadomość wypadku. Pytał o wóz, w jakim jest stanie.

— Może później symulować. A także zażądać adwokata. Dlatego im szybciej się do niego dobierzemy, tym lepiej. Wtrąci się potem ambasada i będzie się to ciągnąć Bóg wie jak długo. Stąd lepiej, żeby nie był za zdrowy. — Kapitan rozłożył ręce. — Trudno. Ma na sumieniu troje ludzi,

— Troje? A getto? — dodał Tomaszek.

*

W kilka dni później ambasada RFN zawiadomiona, że ich obywatel podejrzany jest o zamordowanie dwóch osób i spowodowanie śmierci trzeciej, przysłała swego przedstawiciela i tłumacza. Lekarze zezwolili już na półgodzinne rozmowy z chorym. Przesłuchanie trwało trzy dni.

Breitner początkowo wszystkiemu zaprzeczał i udawał, że nie zna języka polskiego. Kiedy jednak udowodniono mu, że od tysiąc dziewięćset dwudziestego roku chodził do polskiego gimnazjum w Katowicach, a potem mieszkając u Złotowskiej rozmawiał po polsku, zarówno z nią, jak i z dozorczynią, przyznał się, że jest tym samym Breitnerem, który służył w gestapo i mieszkał przy ulicy Różanej. Kiedy pokazano mu klejnoty odkryte w samochodzie, załamał się zupełnie. Przedstawiciel ambasady prosił o przerwanie przesłuchań ze względu na stan zdrowia Breitnera.

Po konsultacji z lekarzami kapitan Smulski zgodził się na odroczenie. Breitner przez kilka dni pozostawał pod nadzorem milicji w szpitalu. Kiedy wydobrział na tyle, że mógł odpowiadać bez ryzyka pogorszenia zdrowia, przystąpiono na nowo do protokolowania zeznań.

— Jestem już za stary, żebyście mi mogli coś zrobić — powiedział — a po tym wypadku już nigdy nie wydobrzeję, więc powiem wam wszystko.

— Może pan zażądać adwokata — oświadczył kapitan Smulski.

— Nie warto — wzruszył ramionami. — Wiem, że niedługo umrę. Żał mi było tego, co nagromadziłem w czasie wojny. Ja nie kradłem. Żydzi sami dawali mi klejnoty. Myśleli, że tym się wykupią od śmierci. Nie wyprowadzałem ich z tego przekonania. Musieli umrzeć. To było niezależne ode mnie. Takie były rozkazy. Dlaczego zatem miały te skarby przepaść? Brałem. Każdy inny na moim miejscu zrobiłby to samo. Ale widocznie moi przełożeni nie byli ze mnie zadowoleni, z akcji w getcie, i wysłali mnie na front wschodni. Wtedy pod nieobecność właścicielki mieszkania zamurowałem to, co miałem, w ścianie pokoju. Wierzyłem, że wygramy wojnę i kiedy wrócę, odzyskam swój majątek.

— Swoj? — Smulski uśmiechnął się ironicznie.

— Dziwne poczucie własności.

— Mój, bo nikogo nie zmuszałem do oddania tego, co miał, a Żydzi i tak byli przeznaczeni na całkowitą zagładę. Po naszej zwycięskiej wojnie, nawet gdyby przeżyli, nie mieliby prawa do tych klejnotów. Oni mi to dali dobrowolnie.

— A wyście wykorzystali ich sytuację.

Breitner znowu wzruszył ramionami.

— Do dziś dnia żyją tacy, którzy zdobyli majątki w czasie wojny. I nikt im tego nie zakwestionował. Postanowiłem i ja odzyskać to, co udało mi się zebrać. Trzydzieści kilka lat czekałem, aż nadarzy się taka sposobność.

— Nie można było wcześniej? — spytał porucznik Tomaszek.

— Sądziłem, że po tylu latach nikt już będzie pamiętał, że przebywałem w tym mieście. Cały czas jednak myślałem o tych klejnotach. Nie dawały mi spokoju. Moi znajomi, którzy jako turyści zwiedzali miasto, powiedzieli mi, że ten dom stoi cały i że mieszka w nim ta sama kobieta, u której miałem kwaterę. Zdecydowałem się samemu o tym przekonać. Pół roku temu udałem się do Krakowa. Nie chciałem jednak ryzykować. Gdyby mnie poznano, skarby przepadłyby na zawsze.

— Bał się pan, że przepadnie nie tylko majątek, ale i pan zostanie zatrzymany jako zbrodniarz wojenny — dodał kapitan Smulski.

— Przegranych nazywa się zbrodniami. Zwycięzców bohaterami — uśmiechnął się Breitner — macie słuszość. Czytałem o kolegach, którym wytoczono procesy. Cóż, byli przecież tylko wykonawcami poleceń swych władz, a odpowiadali, jakby od nich zależało tępienie wrogów. Mnie się jakoś udało. Wróciłem ranny do Niemiec jeszcze przed upadkiem Berlina. Nie dostałem się w wasze ręce. I dzięki temu uniknąłem nieprzyjemności. Nie mam do dziś dnia poczucia winy. Byłem żołnierzem.

— Żołnierzem? Gestapowcem. To chyba coś innego?

— Och, to są niuanse, które wy tylko rozróżniacie. Wszyscy Niemcy byli żołnierzami i walczyli dla dobra swego kraju.

Kapitan Smulski położył dłoń na kilku teczkach z przesłuchaniami świadków i fotokopiami dowodów rzeczowych.

— Interesuje nas teraz wasza druga wycieczka turystyczna. Przyjechaliście już z gotowym planem odzyskania nagromadzonego majątku. Już nie jako żołnierz, prawda?

Breitner zamilkł i położył ręce na pościeli.

— Mamy dowody, że jesteście winni śmierci trzech osób.

— Trzech? — Breitner zachnął się i uniósł nieco na łóżku.

— Tak, trzech — potwierdził kapitan Smulski.

Breitner westchnął głęboko, nabrał powietrza i powiedział cicho:

— Mówiłem, że stoję nad grobem i że mi już na niczym nie zależy. Ale ja nie zabiłem trzech osób.

— Udowodnimy wam, że były to trzy osoby.

Breitner przymknął oczy, jakby chciał sobie odtworzyć zdarzenia sprzed kilku dni. Tomaszek obserwował Niemców z ambasady. Pozornie zachowywali spokój wydawać by się mogło, że zupełnie nie są zaangażowani w tę aferę i spełniają jedynie swój obowiązek jako obiektywni świadkowie. Zdradzały ich jednak oczy. Były pełne niepokoju o los obywatela ich ojczyzny. Tymczasem Breitner nagle się ożywił. Jego blada twarz pokryła się rumieńcami. Zwiżył językiem spierzchnięte usta.

— Nic mi nie zrobicie. Myślałem, że na starość zostanę bogatym człowiekiem. Nie udało się przez ten przeklęty wypadek. Ze mnie już nic nie będzie. Niedługo umrę...

— Nasi lekarze twierdzą co innego — uśmiechnął się Smulski. — Wyleczymy was, jestem o tym przekonany,

Breitner próbował odpowiedzieć kapitanowi podobnym uśmiechem, ale tylko skrzywił się i potrząsnął przecząco głową.

— Nie licytujmy się — rzekł Smulski — lepiej przystąpmy do rzeczy. Podczas pierwszego wasze-go pobytu w Krakowie nawiązaliście znajomość z jakimś Janem Możdżeniem, mleczarzem, który zaopatrywał w mleko kamienicę przy ulicy Różanej 20. Jemu to dostarczyliście czeki turystyczne do wymiany na polskie pieniądze, I za te pieniądze Możdzeń miał wykonać dla was specjalne zadanie, Dostać się do mieszkania Złotowskiej i wydobyć ze skrytki w ścianie kasetkę z kosztownościami. Czy tak?

Breitner chwilę wpatrywał się badawczo w Smulskiego, po czym rzekł cicho:

— Tak, to prawda.

— Czeków tych jednakowoż nie udało się wam wymienić. Dlaczego pan sam tego nie uczynił W banku?

— Przywiozłem ich o wiele więcej, aniżeli pozwalają na to wasze przepisy. Chciałem, aby ten człowiek uwierzył mi, że dobrze zapłacę za robotę. Obiecałem mu, że za drugim razem zostanie odpowiednio wynagrodzony.

— Przyjechał pan w pół roku później i dał Możdżeniowi proszek, by wsypał do mleka Złotowskiej.

- Tak.
- Co to był za proszek?
- Nie znam się na tym. Nie jestem farmaceutą.
- To my panu powiemy. To był cyjanek.
- Możliwe — zgodził się Breitner.
- Zatem Złotowska nie miała być uśpiona, lecz otruta.

Na to Breitner już nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami, jakby sprawa, którą poruszano, nie przedstawiała żadnego znaczenia. Na następne pytania kapitana również nie udzielił odpowiedzi. Robił wrażenie zmęczonego i lekarz prosił o przełożenie przesłuchania na dzień następny.

*

— Do momentu wyjęcia kasetki ze ściany przez Możdżenia mamy mniej więcej jasność — powiedział Smulski. — Możdżeń podjąwszy się zadania, wsypał proszek do mleka. Odczekał do chwili, kiedy lokatorzy zabrali mleko spod drzwi, wrócił do Złotowskiej, aby włamać się do jej mieszkania. Przedtem jednak na wszelki wypadek zadzwonił. Otworzyła mu, bo śladów otwierania zamka na siłę nie znaleźliśmy. Jakim sposobem znalazł się w mieszkaniu kobiety, która jak wynika z zeznań, nie była skora do przyjmowania gości, tego się już nie dowiemy. I co tam zaszło, również nigdy nie będziemy wiedzieli. Wiemy tylko, że zdzielił ją butelką w głowę, na skutek czego poniosła śmierć. Po czym spokojnie wykuł otwór w ścianie, wydobyl kasetkę, uprzętnął solidnie gruz, zabierając, ze sobą i narzędzia, i pokruszoną cegłę. Jak i kiedy wyszedł z mieszkania, nie postrzeżony przez nikogo — również nie wiadomo. Najprawdopodobniej znalazł dobrze obyczajną dozorczyńnię i poczekał, aż wyszła gdzieś z kamienicy. I nie mówcie mi, że Możdżeń był przypadkowym mordercą. Mógł równie dobrze wiedzieć, co wsypuje Złotowskiej do mleka, skoro z premedytacją zabił ją butelką.

— Mam co do tego wątpliwości — pokręcił głową Tomaszek — ale to przecież obecnie już nieważne. Nie żyje. Nie odpowie nam na to ani nie poniesie kary. Mnie się jednak ciągle wydaje, że padł on również ofiarą swej naiwności.

— Przecież gdyby chciał ją tylko ogłuszyć, Złotowska mogła by go potem rozpoznać. Nie udało się z otruciem, trzeba było się jej pozbyć w inny sposób. Inaczej czekał go kryminal. Chyba zdawał sobie z tego sprawę. W dodatku prawdopodobnie wiedział, że znaleziono opodal otrutego człowieka. Odpowiadałby za pozbawienie życia Piwińskiego i za włamanie.

— Mógł o tym nie wiedzieć. Piwińskiego znaleziono na skwerku — wtrącił Dańda.

— Obecnie to rzecz drugorzędna — machnął ręką kapitan Smulski — poczekajmy do jutra. Dowiemy się, jak wszystko potoczyło się dalej.

*

Prokurator Nowak czytał z zainteresowaniem protokół przesłuchania

Breitnera. „Możdzeń przyniósł mi kasetkę do samochodu, zajrzałem do niej i z zadowoleniem skonstatowałem, że znajdowały się w niej wszystkie klejnoty. Podziwiałem go, że nie przywłaszczył sobie ani jednej sztuki licząc na to, że nie będę już pamiętał, co tam w niej było. Nalegał jednak, abym jak najszybciej wręczył mu obiecane pieniądze. Oświadczyłem mu, że muszę wpieniwić do banku, aby zrealizować wymianę pieniędzy, gdyż żądał wynagrodzenia w polskich pieniądzach. Kiedy spytałem go, co stało się z właścicielką mieszkania, odburknął, że to już nie moja rzecz i wtedy zażądał podwójnej kwoty, niż to było uzgodnione między nami. Zgodziłem się, bo zrozumiałem, że stara nie żyje i że on ją zabił. Nie podobał mi się. Był roztrzęsiony i rozglądał się, czy przypadkiem już ktoś nie jest na jego tropie. Umówiłem się z nim za miastem o czternastej. Miał na mnie czekać, aż przyjadę i wręczę mu pieniądze. Przez kilka godzin, jakie mi pozostały do chwili spotkania, obmyśliłem plan. Nie mogłem ryzykować. Tacy jak on są nieodpowiedzialni. Wpadają zwykle przez swą głupotę. Był więc niebezpieczny. Przyszedł na umówioną godzinę i przekonałem go, że lepiej będzie, gdy wyjedziemy daleko za miasto, by się rozliczyć. Zgodził się bez wahania. Pojechaliśmy i w pewnym miejscu zatrzymałem samochód. Wyszliśmy na wzgórek, niby dla odpoczynku. Pokazałem mu portfel z pieniędzmi, więc był przekonany, że wszystko jest w porządku. Zaproponowałem mu, abyśmy coś przekąsili. Miałem kanapki z salami. Kiedy się odwrócił, wsypałem mu pod plasterek salami trochę proszku. Po trzecim kęsie padł nieżywy. Zabrałem mu dokumenty i wszystko, co by mogło zbyt szybko naprowadzić na ślad, kim jest, Zabrałem nawet ogarek wypalonego papierosa. Nie zauważyłem jednak, że wypadła mi z kieszeni zapalniczka, którą dostałem od przyjaciela pracującego w telewizji. Potem wsiadłem do wozu, pozostawiając zwłoki na wzgórzu. Nie były widoczne z szosy. Kasetkę i rzeczy Możdżenia wrzuciłem do stawku w najbliższej wsi i pojechałem czym prędzej w kierunku przejścia granicznego. Pośpiech mnie zgubił. Zapomniałem, że miałem stare opony. Nie wytrzymały tej szybkości. Chciałem wyprowadzić wóz, gdy pękła przednia opona, lecz zawiódł mnie refleks. Za stary już jestem na takie wyczyny. Zawczasu miałem przygotowany schowek w samochodzie. Zanim spotkałem się z Możdżeniem, podjechałem do stacji benzynowej i pod pozorem podciągnięcia sprzęgła na pomoście, umieściłem klejnoty w schowku, owinąwszy je wpiersi w szalik. Nikt by nie wpadł, że tam się coś znajduje. Głupi wypadek i wszystko stracone”.

Prokurator pokiwał głową, odkładając teczkę z protokołami.

— Mniej więcej wiedzieliśmy już wszystko, zanim nam to zeznał — powiedział Smulski nie ukrywając zadowolenia.

— Sprawiliście się szybko i ładnie — pochwalił prokurator — nawet Niemcy z ambasady was podziwiali. A jak ze zdrowiem Breitnera?

— Chyba nie wyjdzie z tego — wyjaśnił porucznik Dańda — coś się tam powikłało i przyplątały się jeszcze inne schorzenia. Siedemdziesiąt lat to już wiek. Najpewniej nam ucieknie...

— Na drugą stronę — dopowiedział porucznik Tomaszek.

*

W kawiarni „Malinowa” o tej porze nie było zbyt wielu gości. Porucznik Dańda zajął miejsce w kącie sali. Janina Barabasz spóźniła się kilka minut. Gdy zamówili kawę, porucznik po paru zdawkowych zdaniach zapytał bez ogródek:

—Dlaczego mnie pani okłamała? Dlaczego powiedziała — że brat dzwonił do niej tłumacząc się, czemu nie oddał jej długu?

Młoda kobieta zaśmiała się i spojrzała porucznikowi filuternie w oczy.

— Bo po prostu chciałam pana jeszcze raz zobaczyć.

KONIEC.

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa



W latach 1976-79 w serii „Ewa wzywa 07” ukazały się:

85. Ignacy Seweryn Kryński — Szwedka
86. Stefan Kos — Śmierć krąży o zmroku
87. Andrzej Krzysztof Barcz — Madonna z Piaskowej Góry
88. Jerzy Laniewski — Rekontra
89. Marian Lohutko — Odwołać poszukiwania
90. Zygmunt Zeydler Zborowski — Dwie lewe nogi
91. Jerzy Edigey — Tajemnica starego kościołka
92. Zygmunt Zeydler Zborowski — Kardynały błąd
93. Janina Martyn — Rozłączył was na zawsze
94. Danuta Frey — Ostrze noża
95. Zygmunt Zeydler Zborowski — Eliza nie zgadza się na rozwód
96. Marian Lohutko — Pętla biczszadzka
97. Tadeusz Żolnierowicz — Pająk rozpina sieci
98. Ryszard Smolaga — Ślad prowadzi do „Delfy”
99. Andrzej Barcz — Rendez-vous w hotelu „Royal”
100. Zygmunt Zeydler Zborowski — Major Downar zastawia pułapkę
101. Jan Koprowski — Maskotka
102. Jerzy Edigey — As trefi
103. Maciej Zenon Bordowicz — Off side
104. Aleksander Gabrusiewicz — Pożyczyć narzeczoną i umrzeć
105. Krystyn Ziemiński — Uśmiech fortuny
106. Danuta Frey — Hotel „Kormoran”
107. Jadwiga Kaflińska — Magiczny papierek
108. Helena Sekula — Ośmiu gwardzistów w czarnych berynkach
109. Aleksander Rymuszko — Sprawa osobista
110. Tadeusz Żolnierowicz — Cios za ciosem

ISBN 83-207-0110-4

Cena zł 10.—